

WALDEMAR STEFAN WAWRZECKI

CZAS MINIONY
DZECIŃSTWO , SZKOŁA, PRACA
LUDZIE

HRUBIESZÓW
MAJ 2013r

Człowiek, przez całe swoje życie, od urodzenia aż po kres, spotyka na swojej drodze ludzi. Ludzi życzliwych i przyjaznych i ludzi których po latach wspomina źle lub wcale. Towarzyszą nam w różnych sytuacjach przez całe dziecińskie, młodzieńcze i dorosłe życie, aż po jego zmierzch. Człowiek jako stworzenie stadne nie jest w stanie żyć i funkcjonować w oderwaniu od swoich pobratymców.

Po latach, kiedy przychodzi czas na refleksję i zastanowienie się nad czasem który jest już za nami, często przed oczami przewijają się ludzie z którymi zetknęły nas różne okoliczności, potrzeby, konieczność czy też czasami dziwne i nie zrozumiałe zdarzenia losu.

To że spotkania te zapadły w naszą pamięć, zahakowały się, spowodowane było najczęściej mocnym, charakterystycznym bodźcem, na tyle mocnym że wypierał inne i na stałe się w niej szufladkował. Również to że pamiętamy osoby z rodziny to normalne i naturalne, wzrastamy w tym środowisku i nasiąkamy nim. Jak sięgam pamięcią wstecz do lat dziecińczych, przed oczami pojawiają się różne osoby. Takie które były ważne z jakiegoś powodu ale także takie które zapadały w pamięć ze względu na jakiś szczególny bodziec, strach, śmieszność, zaciekawienie.

Słabo pamiętam rodzinę ojca, dziadek Jan Wawrzecki zmarł gdy miałem 5 lat. Jawi mi się jako postawny mężczyzna z wąsami ale głosu czy też gestów nie jestem w stanie przypomnieć. Podobnie widzę moją zmarłą matkę chrestną, Paulinę Warchulską zd. Pana-siewicz, zapamiętałem jej sylwetkę stojącą na tle okna w pokoju i patrzącą przez nie gdzieś w perspektywę ulicy. Siebie zapamiętałem bawiącego się u jej stóp. To wszystko działo się gdy miałem 5 lat.

Od dzieciństwa tkwi we mnie pewien obraz, którego nie potrafię sobie racjonalnie wytłumaczyć. Otóż widzę siebie jako małego chłopca stojącego na szczycie bardzo wysokich schodów i trzymanego za rękę przez mojego ojca i co ciekawe, sam siebie oglądam patrząc z podstawy schodów do góry. Ten obraz "prześladuje" mnie od wczesnych dziecińczych lat. Nikt w domu nie potrafił wytłumaczyć mi skąd taka wizja, nie przypominano sobie bym gdzieś z ojcem był w podobnej scenerii. Wracając do rodziny ojca, dziadek po śmierci swojej żony a mojej babki Karoliny z Lempertów /córki kolonisty niemieckiego Piotra Lemperta wnuka Johana Lemperta z Ebenau/ ożenił się powtórnie. Do domu przyszła kobieta, która kompletnie nie dbała o dzieci. W najgorszej sytuacji znalazł się najmłodszy Karol. Dorosłe już rodzeństwo zajęło się wychowaniem brata. W opowieściach rodzinnych zachował się bardzo zły obraz tej kobiety, mnie jawiła się zawsze jak ta zła macocha z bajki o Kopciuszku. Po śmierci mojego dziadka Jana Wawrzeckiego a jej męża, kilka razy zjawiała się naszym domu, ale w jakim celu nie wiem, podświadomie nie lubiłem jej, pewnie wynikało to z rozmów jakie o niej toczyli rodzice.

Kiedy zmarła i gdzie jest pochowana, tego nie wiem. Nigdy nie wracała w rozmowach czy wspomnieniach. Po prostu rozplynęła się w niepamięci. Związki z rodziną ojca były dosyć luźne, jeszcze jak żył ojciec, kontakty były utrzymywane. Jeździliśmy do dziadka do Metelina, do siostry ojca Kazimiery na Wolice, chodziliśmy również w odwiedziny do brata Stanisława, mieszkającego wówczas na ulicy Zamojskiej. Właśnie z tych odwiedzin u stryja Stanisława, pamiętam charakterystyczne postacie ojca i syna, Dubiszewskich, lekarza i prawnika-sędziego spacerujących poboczem tej ulicy. Wyróżniali się swoim wyglądem od innych, była to zanikająca przedwojenna elita tego miasteczka. Ich charakterystyczne odmienne postacie pamięć dziecka zarejestrowała i przechowała. Po śmierci ojca, stosunki z jego rodziną ochłodziły się, pewnie również z tego powodu że matka nie wiem dlaczego

ale dystansowała się od nich i nie przejawiała chęci do odwiedzin czy też kontaktów. Pewnie i my przejęliśmy ten styl , jesteśmy tacy jakimi nas ukształtują w domu.

Przyznam że brakowało mi tych kontaktów , utrzymywaliśmy wprawdzie dosyć częsty kontakt z bratem ojca Karolem ale po jego śmierci , kontakty ograniczyły się do koniecznych. Podobnie było z rodziną siostry ojca , Kazimierą.

Z dziećmi stryja Stanisława , kontakt utrzymywała moja siostra , ja nie. Ale myślę że wina leży również po stronie rodziny ojca , oni także nie dążyli do częstych rodzinnych kontaktów. Myślę że podobny problem spotyka wiele rodzin , powody są różne , czasami zważają na tym sprawy majątkowe, jakieś urazy czy wręcz niechęć. Boli mnie również pewien , styl czy też zwyczaj , chodzi mi o pamięć o zmarłych. Staramy się odwiedzać groby dziadków , braci ojca , czy też kuzynów z tej rodziny stawiając znicze pamięci, nie przypominam sobie by ktokolwiek z rodziny ojca , postawił kiedykolwiek znicz na jego grobie. To przykre.

Bardzo dobrze pamiętam dziadka Jana Lebedowicza , ojca mojej matki , pewnie również dlatego że mieszkaliśmy razem. Dziadek miał charakter, dzisiaj można by powiedzieć społecznika. Lubił pomagać innym , potrafił wynosić z domu jedzenie by nakarmić głodnego.

Wiedząc że najbliżsi nie zawsze podzielali jego poglądy starał się to robić w sposób nie rzucający się w oczy. Myślę że jego charakter był poniekąd charakterem jego przodków , Antoniego Hapońskiego dobroczyńcy cerkwi unickiej , fundatora dzwonnicy i kruchty w latach 1868 i 1869 i Józefa Lebedowicza zesłańca za wiarę po 1875 roku i darczyńcy ziemi pod cmentarz unicki w 1840 roku. Żoną dziadka była Agnieszka Szumiata , córka Aleksandra i Zofii , wnuczka Jana Słapczyńskiego z Wołajowic i wujeczna wnuczka Józefa Słapczyńskiego proboszcza parafii w Moniatyczach do 1905 roku. Najstarsza siostra mojego dziadka , Marianna była zakonnicą w zakonie Sacre Cour w Petersburgu, po likwidacji zakonu przez bolszewików, Marianna wróciła do Hrubieszowa , ewakuując się przy pomocy rządu francuskiego, powrót był przez Francję.

Młodsza siostra Paulina, była żoną Piotra Bojarczuka, matką tragicznie zmarłego Stanisława, ewakuującego się we wrześniu 1939 roku wraz z rządem RP na uchodźstwo. Stanisław był w armii generała Andersa , po powrocie zaszczytowany przez bezpiekę rzekomo popełnił samobójstwo w 1948 roku, rodzina w to nie wierzy. Młodszy syn Pauliny Leon , ożeniony z Zofią z Borsukiewiczów ze Sławęcina jest ojcem Heleny Bojarczuk , długoletniego dyrektora muzeum hrubieszowskiego a obecnie już po przejściu na emeryturę , felietonistki miejscowego radia Staszic. Dwie siostry Heleny, mieszkają w Hrubieszowie, trzecia mieszka w Drohiczynie. Dzieci Józefa i Jana , synów Pauliny mieszkają w Krakowie , Tychach , Łodzi i Hrubieszowie.

Siostra dziadka, Anna , wyszła za Pirogowicza , rodzinę poróżniły sprawy majątkowe i trwały aż do śmierci rodzeństwa.

Najmłodsza siostra Stanisława , wyszła za Pawła Ciesielczuka , byliśmy najbardziej zżyci z ciotecznią babką i jej rodziną. Były częste wzajemne odwiedziny , serdeczna atmosfera i to cementowało rodzinę. Odejścia , co jest oczywiste i nieuchronne zawsze powodują pustkę i stałe niestety poluźnianie więzów rodzinnych.

Pierwszymi spotkanymi ludźmi których poznaje dziecko to oczywiście znajomi i sąsiedzi. To że poznaje rodzinę bliższą i dalszą jest bardzo oczywiste.

Z najwcześniejszych lat dzieciennych , jeszcze przed podjęciem nauki w szkole , pamiętam wyjazdy pociągiem do Zamościa , gdzie mieszkała koleżanka mojej mamy. Mąż koleżanki pracownik PKP , miał na imię Krzysztof. I on i jego żona , zawsze promienni , uśmiechnięci, zadowoleni, tak ich zapamiętałem. Podróż pociągiem to też nie zapomniane wrażenie. Dojście do dworca a właściwie baraku dworcowego z kasą otwartą tylko przed odjazdem. Szliśmy piechotą przez zagumienki , ścieżką między polami do prawdziwej ulicy Polnej , wyglądającej w tym czasie jak droga polna. Dalej już drogą obok tartaku i młyna i małego domku Olichwira stojącego w bardzo gęstym od drzew sadzie. Tak dochodziliśmy do ul. Kolejowej , gdzie znowu ścieżką wśród pól , między innymi Panasiewiczów, naszych sąsia-

dów i ścieżką przez łąkę , gdzie trzeba było przejść przez rów pełen wody dochodziliśmy do dzisiejszej ulicy Dworcowej.I potem frajda, cała podróż w oknie wagonu, podziwianie szybko uciekającego krajobrazu. Było wspaniale. Oni również przyjeżdżali do nas, ponadto na tej samej ulicy mieszkała siostra koleżanki mojej mamy więc odwiedzali i nas i swoją rodzinę. Mieszkaliśmy w domu dziadka Lebedowicza , za domem , przy zabudowaniach gospodarczych , był bardzo duży ogród i sad. Odwiedziny odbywały się z reguły w okresie letnim. Często spotkania organizowano na podwórzu lub w ogrodzie.Sad i ogród były jakby letnim salonem.Często w niedzielne popołudnia , rodzina , znajomi , spotykali się właśnie w sadzie. Rozłożone w trawie pod drzewami koce, ustawione stoły i wspólne biesiadowanie. Mam jeszcze zdjęcia zrobione przez Pana Metiuka, fotografa z Podgorza, który uwieczniał te spotkania rodzinne i znajomych. Pan Metiuk jakby wyczuwał potrzebę utrwalania czasu, w niedzielne popołudnia zjawiał się nie tylko u nas ale i u innych mieszkańców Podgorza i na życzenie uwieczniał na kliszy upływający czas i ludzi.Było to wtedy kiedy nie było jeszcze złodziei czasu,telewizji i dzisiejszego największego złodzieja, komputera i internetu.Ludzie lgnęli do siebie, potrzebowali bliskiego kontaktu i uzewnętrzniania się czy to w sprawach osobistych czy też odwiecznego plotkowania. Ale był to, przynajmniej dla mnie czas chłonięcia informacji , opowieści , nowinek i plotek, a plotkowali wszyscy równo i kobiety i mężczyźni. Właśnie te lata dziecinne i chłonny umysł dziecka pozwalał usłyszane informacje o rodzinie, sąsiadach, wydarzeniach, zakodować, zaszufładkować i po latach zwracał je.Sad i ogród to były miejsca zabaw , wypoczynku , wypadu po owoce prosto z drzewa czy pomidory z krzaka.Ten pomidor z krzaka to była eksplozja smaku, pachniał słońcem , wiatrem ,deszczem, dzisiejszy pomidor i z rynku i z marketu to marna podróbka tamtych pomidorów czy ogórków.Czasami jeszcze na rynku można kupić "domowe" pomidory, wychodowane gdzieś za domem w ogródku, chłone i słońce i wiatr i deszcz.Foliowe tunele skutecznie je od tych dobrodziejstw natury odcinają.Tunelowy produkt jest tylko namiastką pomidora, traktowane chemią, gazowymi przyśpieszaczami czy też genetyczną modyfikacją mają smak daleko odbiegający od oryginału.Boję się że ta wszechobecna pogoń za pieniądzem bez zwracania uwagi na jakość produktu, może za ileś tam lat zaowocować rzeczywistą genetyczną modyfikacją w ludzkich organizmach. Nieznany jest wieloletni wpływ GMO na organizmy ludzkie, za krótki jest czas by mówić że nie szkodzą.

Antonowki, papierówki,cyganki,malinówki,krązelki,reneta szara i złota,koksy,grochówki, to tylko niektóre dawne gatunki jabłoni.Okoliczne sady pełne były tych starych odmian nie tylko jabłoni ale również gruszek, śliw czy wspaniałych wiśni o smaku i zapachu nie zapomnianym. Nie były to sady prowadzone tak jak dzisiaj , drzewa pod sznurek ,przycinane, przyskane zlewane chemią przed chorobami i szkodnikami.Drzewa rosły swobodnie , nikt nie przycinał gałęzi a już o przyskaniu nawet się nie słyszało. Ale również drzewa owocowały głównie dla właściciela i jego rodziny , chyba że ktoś zajmował się tym zawodowo jako sadownik. Na zagumienkach były dwa takie sady, jeden to Ciesielczuka-Garko męża naszej kuzynki Czesławy Szumiaty i drugi Rządkowski.

Sad Ciesielczuka to były młode drzewa, owoców było mało a i sam właściciel nie bardzo dbał o ten sad. Sad Rządkowski był trochę starszy i więcej tam było jabłoni, nie raz okoliczna dzieciarnia robiła wyprawy po jabłka. Pamiętam jak Rządkowski rowerem gonił za uciekającą gromadką i wpadł do kanału Huczwy przy Proboju nie wyrabiając się z rowerem na ostrym zakręcie.

Nasz ogród i sad był bardzo duży.Od ulicy prowadziła droga wjazdowa długa na dwieście lub trzysta metrów, po drodze był spichlerz pamiętający stacjonujące tam w czasie pierwszej wojny wojska austriackie, obsadzona wysokimi i starymi topolami droga dochodziła do olbrzymiej dwutokowej stodoły pradziadka Ignaca Lebedowicza. I z lewej i z prawej strony drogi ,przed spichlerzem i za był sad i ogród naprzemiennie robiony coraz w innym miejscu.Za stodołą był ogród i maliniak, rosło tam również kilka wysokich starych wiśni , tak giętkich że po wejściu na wierzchołek drzewo pochylało się ku ziemi i ułatwiało zbiór

owoców. Owoce takie jak wiśnie przeznaczano głównie na sok, wsypane do butla, zasypane cukrem wystawione do słońca oddawały to co miały najlepsze, tak przerabiano również maliny. Z jabłek, śliwek przygotowywano głównie kompoty, modne wówczas wecki. Również smażyono konfitury.

Część sadu albo ogrodu przeznaczono we wczesnych latach 50 ubiegłego wieku na boisko do siatki. Przez całe lato koleżanki i koledzy moich ciotek i wujka popołudniami rozgrywali mecze siatkarskie, przychodzili nie tylko ci z najbliższego sąsiedztwa ale także z ulicy Kolejowej, Wygonu, Pobereżan czy też z Ludnej. Mietek Hajkiewicz, Edek Prył, Jerzyk Han, Serafin, Lichorobiec, Lipek-Madej, Roman Helena, Panasiewicz Irena, Heflich Mirosław, Zbyszek Warchulski, Rysio Panasiewicz i wielu innych których nazwisk już nie pamiętam. Teren boiska był doskonałym miejscem na zebrania rolników organizowane przez sołtysa Lewickiego z Wygonu. W razie konieczności zwoływał takie zebranie, mówiąc że będzie na boisku przy stodole Ignacha Lebedowicza.

Wspaniale wyglądały olbrzymie topole rosnące po obu stronach drogi, do dzisiaj mam zdjęcie, na którym uwieczniono mnie i siostrę z psami przy takim wielkim drzewie. Ale ktoś zdecydował, może dziadek a może ciotki, że topole trzeba wyciąć. Przez kilka dni mocowano się z drzewami, wkońcu poległy czekając na wywiezienie do tartaku. Ale pewnie ze względu na słabą jakość drewna topolowego zaniechano tego i wielkie kłody po kilku latach zamieniły się w próchno. Przy spichlerzu rosła bardzo bardzo stara lipa, powykrzywiana, spróchniała, co roku odradzała się i zapachem kwiatów wypełniała podwórze. Z drugiej strony spichlerza rosła dziwnie powykręcana jabłoń grochówka, duża część pnia wila się w trawie. To dziwaczne drzewo było miejscem zabaw, nie wysoka, rozłożysta ułatwiała wspinanie na jej konary.

Nieopodal jabłonki tuż przy drodze było spore zagłębienie, pewnie jakaś pozostałość po kopcowaniu. Wiosenne roztopy wypełniały to zagłębienie, powstawała mała sadzawka. Wywlekaliśmy jakieś stare balie albo kilka zbitych desek i odpychając się kijami pływaliśmy po tym oceanie.

Kąty ogrodu i sadu zarastały chaszcze dzikiego bzu, krzewów smorodinowych, rozłożystych łopianów i olbrzymich pokrzyw. W maliniaku nie raz znajdowaliśmy gniazda ptaków, z zapartym tchem, ukryci za krzakiem obserwowaliśmy gniazdujące ptaki. Dziecinne lata to codzienne obcowanie z naturą, każda pora roku to inny zapach, kolor a nawet dźwięk.

Ubolewałem że moje córki nie miały tego szczęścia dorastać w codziennym kontakcie z przyrodą. Kocham przyrodę, boli mnie każde wycięte drzewo, złamana gałąź czy dewastowane bezlitośnie w okresie wczesnej wiosny miejskie drzewa. Bardzo przeżywam krzywdy wyrażane zwierzętom.

W rodzinnym domu zawsze było sporo zwierząt, pomijam domowe zwierzęta z gospodarstwa dziadka, ale gromadka kotów i psów zawsze kręciła się po podwórzu. Z jaką radością witane były młode szczeniaki sukki Ciapy i jak rozpaczaliśmy kiedy były oddawane. Tak samo przeżywaliśmy bardzo emocjonalnie pojawienie się młodych kociaków. Co roku pojawiał się u nas jakiś nowy zwierzak, pies lub kot podrzucane przez ludzi mało kochających zwierzęta. Nie były odpędzane i mogły liczyć na kąpiel do spania i miskę z jedzeniem. Taki bardzo życzliwy stosunek do zwierząt przejawiała zwłaszcza ciotka Stanisława i zawsze znalazł się jakiś zwierzak kot lub pies który przywiązywał się do niej i chodził za nią krok w krok. Mieliśmy nawet któregoś jesieni boćka, nie odleciał z innymi i ktoś nie pamiętam już kto podrzucił go na nasze podwórze. Kajtek bo tak został nazwany, przemieszkał zimę w kurniku, na wiosnę dostojnie przechadzał się po podwórzu i nagle któregoś dnia zniknął. Podejrzewaliśmy z siostrą że ktoś zrobił mu krzywdę a on pewnie najzwyczajniej w świecie dołączył do powracających pobratymców.

Sąsiadów mieliśmy różnych, zdecydowana większość to rolnicy, ale byli także urzędnicy pocztowi, rzemieślnicy, drobni kupcy, tak jak w większości takich miasteczek, szczególnie na kresach. Matka moja przyjaźniła się z sąsiadką Tutkajową, zamieszkali oni po wojnie

w dawnym domu Hapońskich-Kraszkiewiczów naszych kuzynów. Tutkajowa pochodziła z Tyszowiec z których w czasie wojny ze względu na grasujące bandy upowskie przenieśli się do Hrubieszowa. Tutkaj był piekarzem, pochodził z Puław, był właścicielem piekarni w Rynku. Tutkajowie mieli córkę Jadzię, moją rówieśnicę i szkolną koleżankę. Pod koniec lat 60 ubiegłego wieku wyjechali ściągnięci przez rodzinę do Wrocławia. Raz z moją siostrą i wujem Józefem byliśmy u nich we Wrocławiu na weselu Jadzi, był to rok 1964. Wyszła za mąż za chłopaka z lubelszczyzny, chyba z okolic Łukowa, studiował we Wrocławiu. Do Tutkajów przyjeżdżali w okresie wakacji kuzynowie z Wrocławia, Pietruchowie, siostra Tutkajowej z mężem. Trasę Wrocław Hrubieszów pokonywali niemieckim motocyklem, wyremontowanym przez jej męża mechanika. Pociągami natomiast przyjeżdżali bratankowie Tutkajowej, Jurek i Wiesiek Grycykowie. Troche młodszy, całe lato spędziliśmy wspólnie na zabawach w naszym sadzie, ogrodzie czy też mocząc się w rzece Huczwie na łąkach Polaczka, gdzie Podgórze zażywało kąpiele. Za Tutkajami mieszkali nasi kuzynowie Ciesielczukowie, Teresa, Bogusia i Janusz, wnukowie siostry mojego dziadka Stanisławy. Teresa w połowie lat sześćdziesiątych ubiegłego wieku wyjechała do Białogardu a później do Koszalina, założyła tam rodzinę i mieszka do dzisiaj. Bogusia, pracowała w PKS Hrubieszów i w 1975 roku w wyniku ostrej infekcji zmarła. Janusz mieszka w Hrubieszowie. W tym samym domu mieszkali Nowakowscy. Stanisław Nowakowski był urzędnikiem ówczesnego Prezydium Miejskiej Rady Narodowej, był jego przewodniczącym. Żoną jego była siostra naszej drugiej sąsiadki, Respondkowej, pochodziły z rodziny Bajów. Razem z Nowakowskimi mieszkała ich wnuczka Jola Pastor. Rodzice Joli mieszkali w Warszawie z dwójką jej braci. Ojciec Joli funkcjonariusz bezpieczeństwa po wyczynach w czasie ataku Polskiego patriotycznego podziemia na urząd bezpieczeństwa w Hrubieszowie /ucieczka z budynku przez okno/ został awansowany do Warszawy. Nowakowski wyraźnie dystansował się od swoich sąsiadów, nawet nie rozmawiał dając do zrozumienia jak ważną jest osobą. Na Podgórzu zjawili się już po wojnie, wcześniej mieszkali chyba gdzieś na Wołyniu. Jak pamiętam nie miał on najlepszej opinii wśród sąsiadów i nie robił nic by wejść w nowe środowisko a środowisko to żyło tak jak żyją sąsiedzi, kuzynowie, którzy darzą się sympatią, pomocą i życzliwością, tego u Nowakowskiego było brak. Całkowicie odmiennie zachowywała się siostra Nowakowskiej, Respondkowa. Była osobą bardzo życzliwą, serdeczną, pomocną. Była częstym gościem, szczególnie wieczorami, bardzo lubiłem jej wizyty, nie często spotyka się tak świetną gawędziarką na różne tematy. Ja z kolei byłem dobrym słuchaczem, wtulony w jakiś kącik chłonałem wszystko. Od wschodu Lebedowiczowie graniczyli z Panasiewiczami. Drewniany budynek z fajermurą na granicy posesji zajmowały dwie rodziny. Od frontu to znaczy od ulicy, pokój z kuchnią zajmowali Panasiewiczowie, Władysław i jego żona Stefania z Wróblewska. Razem z nimi mieszkała teściowa Władysława, Konstancja Wróblewska z Jowdiuków. Trójka dzieci, starsza Grażyna, po ślubie wraz z mężem przeprowadzili się do Lublina. Mąż Grażyny był zawodowym wojskowym i to pewnie było powodem przeprowadzki. Młodszy Andrzej, starszy o trzy lata ode mnie, był towarzyszem zabaw i organizatorem pieszych wypraw w okolicy Hrubieszowa. Były to wyprawy nad Bug do Gródka, do Mienian a nawet do Kryłowa, dzisiaj wspominam to z sentymentem. Najmłodszy Tadeusz, bardzo zdolny, po studiach zamieszkał w Warszawie. Grażyna sporo starsza, była bardzo ładną dziewczyną z burzą czarnych włosów na głowie. Wyszła za mąż za wojskowego, chyba o nazwisku Smalej i wyjechała do Lublina. W Lublinie spotykałem ją w urzędzie pocztowym róg ulicy dzisiejszej Świętoduskiej i Lubartowskiej kiedy przychodziłem tam z wysyłką listu albo paczki. Pomimo różnicy wieku byliśmy na ty. Tak wśród sąsiadów bywało. Andrzej, starszy odemnie o 3 lata, kiedy był w szkole podstawowej chodził na naukę gry na skrzypcach. Jak on nie nawidził tych skrzypiec. Ale dzięki nim nauczył się grać na gitarze i często wieczorami na słynnych schodkach u Leona Panasiewicza grał i śpiewał. Z racji umiejętności grania i śpiewania podkochiwały się w nim liczne dziewczyny, jedna z nich do dzisiaj mieszkająca w Hrubieszowie, lekarz, siedziała w oknie i płakała, jak przy serenadach włoskich czy hiszpańskich. Andrzej

podjął naukę w Państwowych Szkołach Budownictwa w Lublinie. Tak wspaniale w opowiadaniach rozwijał wizję tej szkoły że ja również zdecydowałem się na podjęcie w niej nauki. Andrzej ukończył kierunek ogólnobudowlany, ja natomiast ukończyłem kierunek budownictwo wodne. I najmłodsza latorośl Panasiewiczów, Tadeusz, pieśczośliwie przez bliskich nazywany Gapciem. Urodził się kiedy rodzeństwo było już w zasadzie dojrzałe i chyba samodzielne, Grażyna na pewno. Bardzo zdolny, po ukończeniu szkoły średniej, podjął naukę w Warszawie, chyba jakaś uczelnia wojskowa, prawdopodobnie pozostał na tej uczelni jako pracownik naukowy. Drugą identyczną część domu zajmowała Paulina, siostra Władysława, która wyszła za Zygmunta Warchulskiego, urzędnika pocztowego. Władysław Panasiewicz, szwagier Zygmunta Warchulskiego również był urzędnikiem pocztowym. Paulina Warchulska była moją chrzestną mamą, zmarła gdy miałem 5 lat. Mieli dwóch synów, starszego Zbigniewa i młodszego Wiesława. Ojciec Zbyszka i Wieśka po jakimś czasie ożenił się powtórnie. Żoną jego została koleżanka z pracy, urzędniczka pocztowa. Rodzina powiększyła się o dwójkę dzieci, chłopca Zygmunta i dziewczynkę, chyba o imieniu Elżbieta, ale wszyscy nazywali ją Lalka. Zbyszek ukończył w Łodzi chyba technikum mechaniczne i podjął pracę zgodnie z tradycjami rodzinnymi w instytucji związanej z pocztą w urzędzie telekomunikacyjnym. Był kierownikiem. Wiesiek, brat Zbyszka ukończył z kolei w Nysie szkołę związaną chyba z telekomunikacją. On również podjął pracę w tym samym urzędzie co brat. Nie ukrywam, że ja także przez rok pracowałem w tym urzędzie. Po ukończeniu szkoły, zastanawiałem się gdzie podjąć pracę, dla specjalności budownictwo wodne, nie było w Hrubieszowie zbyt dużej oferty. Wprawdzie wychowawca mojej klasy inż. Owczarek zapewnił mi pracę przy budującym się właśnie moście sławęcińskim, ale nie bardzo mi odpowiadała a w zasadzie przeszkodą był szef tej budowy. Tak się złożyło że jak przyszedłem na rozmowę, trafiłem na wielką popijawę w biurze budowy i to mnie zraziło. Chętnie więc przyjąłem ofertę Zbyszka i podjąłem pracę. Po roku czasu zmieniłem ją na pracę nauczyciela zawodu w szkole budowlanej. Jak potoczyły się dalsze losy dzieci Warchulskich z drugiego małżeństwa nie wiem, utraciłem bliski kontakt z sąsiadami jak zmieniłem miejsce zamieszkania po ślubie z Grażyną Techmanską. W drugim domu stojącym na tej działce mieszkał Jan Panasiewicz, brat Władysława i Pauliny.

Rodziny te chyba nie darzyły się wzajemną sympatią jakby to wynikało z bliskości powiązań. Dom Jana usytuowany był w pobliżu ulicy. Połowa domu stanowiła jego własność, natomiast druga połowa należała do Pauliny Warchulskiej i Władysława Panasiewicza. W ćwiartce należącej do Władysława mieszkała przyszywana ich krewna Zofia Tybel z matką. Mieszkali tam pewnie z tej racji że ojciec Zofii Tybel był kucharzem we dworze w Modryńcu, tym samym dworze gdzie rządcą był mąż Konstancji Wroblewskiej, teściowej Władysława. W drugiej ćwiartce mieszkali początkowo Kamińscy przesiedleni z Uściługa a później zamieszkał tam najstarszy syn Warchulskich, Zbyszek z rodziną. Żoną jego była Zofia Swatko z Grabowca.

Połówkę domu Jana zamieszkiwały dwie rodziny, od ulicy mieszkała córka Jana, Lusja z mężem Janem Podlewskim i dwójką synów. Od podwórza, pokój z kuchnią zajmował Jan Panasiewicz z żoną Katarzyną i dwoma synami bliźniakami, Witkiem i Waldkiem. Zięć Jana Panasiewicza, Jan Podlewski prowadził zakład krawiecki, pamiętam jak szył mi garnitur i miał problem z rękawami marynarki, po prostu prawa ręka była nieco dłuższa od lewej, 99% populacji tak ma, ale krawiec nie mógł tego zrozumieć. Całą rodziną debatowali nad takim kuriozum. Najstarszy syn Jana Panasiewicza, Czesław, ukończył szkołę w Nysie, tę samą szkołę w jakiś czas po nim ukończył Wiesiek Warchulski, jego kuzyn. Czesław podjął pracę w Zakładzie Energetycznym w Zamościu, tam założył rodzinę i mieszka do dzisiaj. Czesław mnie nie znał, mieszkał w Hrubieszowie kiedy byłem dzieckiem. Ale los nas ze sobą zetknął. Będąc w na cmentarzu w Sitańcu, gdzie dokumentowałem groby kolonistów niemieckich, kuzynów mojej babki Karoliny, spotkałem spacerującego Czesława. Podeszedłem, przedstawiłem się i zaczęliśmy wspominać. Pamiętał moja rodzinę, ciotki, mat-

kę, sąsiadów. Podczas rozmowy powiedział dlaczego jest na cmentarzu , otóż sprawdzał jak wykonano grobowiec dla niego, bo jak powiedział czas najwyższy zadbać o ten ostatni dom. Najmłodsze rodzeństwo Czesława i Lusi to bliźniacy Waldek i Witek. Prawie równolatkiem moi. Całe dzieciństwo i lata młodzieńcze spędziliśmy razem. Bobrowaliśmy po sadach , ogrodach, wyprawialiśmy się na kąpielisko Podgórze jakim była rzeczka Huczwa i przylegająca do niej łąka Polaczka, miejsce plażowania i nie tylko. Tutaj rzneliśmy w karty w tyśiąca, durnia a także w oczko i pokera. Łąka Polaczka w pogodne, ciepłe czy gorące dni, wypełniona była amatorami kąpeli i opalania. W rzeczce kotłowało się od dzieciarni i starszych. To były wspaniałe miejsca do nauki pływania. Kąpielisk było kilka , zróżnicowanych głębokością, szerokością czy też możliwością wykonywania skoków do wody. Ale najlepszym miejscem zabaw były Łozy, łąki za ogrodami Podkowika, Heflichów, Patkowskich i innych. Były to łąki porośnięte łożą, wierzbą, dzikim bzem i usiane lejami po bombach. Były to wspaniałe miejsca zabaw, tam improwizowaliśmy wojny, podchody, paliliśmy ogniska, po latach na łożach urządzono ogrody działkowe i tak zniknął fantastyczny świat dzieciństwa. Kiedy podrośliśmy i można było rowerami poruszać się po drogach, wyprawialiśmy się na ryby na duży i mały Ostrów, wówczas były to wspólnotowe pastwiska. Kiedy zezwolono na dostęp do rzeki granicznej Bug, wyprawialiśmy się do Czumowa, Ślipcza, Gródka czy też Husynnego na rybne łowiska. To na Bugu trafiały się najpiękniejsze okazy. Łąki małego i dużego Ostrowa pamiętające jeszcze w tym czasie lata wojny na wzgórzach z zachodniej strony posiadały system okopów wojskowych, było to miejsce zabaw i fantazjowania co w tych okopach się działo. Mały i Duży Ostrów przecinała droga prowadząca do Zosina, Strzyżowa czy pobliskiego Teptiukowa. Z prawej strony drogi na skarpie pod drzewami, przypędzający na pastwisko krowy zbierali pieczarki. W okresie letnim bywał tam niesamowity wysyp pieczarek, dorośli i dzieci, grzebali patykami w zboczach skarpy wyłuskując grzyby. Ciekawe że rosły tylko z prawej strony drogi przylegającej do Dużego Ostrowa. Tereny obecnego Hakonu a właściwie jego resztek to był teren porośnięty burzanami, chaszczami. W miejscu dzisiejszego "Wotelu" zaczynała się droga polna przecinająca to uroczysko i prowadząca do ówczesnej ulicy Wygon, był to skrót bardzo znaczący. Na to uroczysko wyprawialiśmy się na łowy szczygłów, przemyślne pułapki, wnyki wykonane z włosia końskiego miały ułatwiać łapanie ptaków ale nie pamiętam czy kiedykolwiek to się udało. W latach pięćdziesiątych ubiegłego wieku , w miejsce starego drewnianego mostu na Huczwie łączącego Hrubieszów z miejscowościami leżącymi na wschód od miasta wybudowano nowy betonowy kabłąkowy most. Ileż to historii powstało na bazie tego nowego mostu, a to jakiś śmiałek motorem przejechał po kabłąku inny znowu rowerem, pojawiła się nawet plotka że chłopak spadł ze szczytu kabłąka , trafił na balustradę i został przepołowiony. Oczywiście że były to sensacje wysane z palca ale pobudzały wyobraźnię.

Ale też często podczas zabaw na Ostrowie , czy też w czasie wędkowania w pobliżu mostu próbowaliśmy wchodzenia na kabłąki , przeważnie gdzieś tak do połowy kabłąka a i to był wyczyn, owszem byli i odważniejsi ale nie przypominam sobie by ktoś z nas przeszedł przez cały kabłąk. Kończąc tę przydługą dygresję przechodzę do następnego domu, należącego przed wojną do ukraińca Ostapiszyna. Dom ten zajmował teraz przesiedlony z za Buga z Wołynia, Władysław Buszkiewicz z żoną i dziećmi, razem z nimi mieszkała matka Władysława Buszkiewicza. Buszkiewicz jak na tamte czasy zajmował bardzo wysokie stanowisko, był dyrektorem miejscowego PZZ/Państwowe Zakłady Zbożowe/. Bardzo wyraźnie dystansował się od starych zasiedziałych mieszkańców Podgórze. Na jego sąsiedzką pomoc raczej nikt nie mógł liczyć. Teraz po latach po lekturze biuletynu TRH z 2011 roku, chyba wiem dlaczego. W tym samym domu, od podwórza mieszkało małżeństwo Sobczuków, fernali z dworu w Modryńcu. Jak mówiono było to białe morgantyczne małżeństwo. Mieszkali przez kilka lat a potem wrócili na wieś, chyba do Modryńca. Buszkiewiczowie mieli trójkę dzieci, Hanka, Urszula i najmłodszy Janusz. Po drugiej stronie ulicy, mieszkali w domu Kopczyńskich, Adugalscy. Dwójka dzieci , Zdych i młodsza w wieku mojej siostry

Urszula. Chyba niezbyt dobrze potoczyło się życie Zdzicha, znikł z Hrubieszowa, były nawet jakieś odsiadki, do dzisiaj nie wiem co się z nim stało. Podobnie Urszula, po wyjściu za mąż, wyjechali wraz z mężem. Po kilku latach mąż, już chyba jako były wrócił do Hrubieszowa, natomiast Urszula nigdy się tutaj nie pokazała. Obok nich w dużym drewnianym domu mieszkało sporo rodzin.

Dziadkowie Adugalscy, Piekarczowie a od strony wschodniej parter zajmowała rodzina Szadowskich, rodzice i dzieci, Jerzy, Włodzimierz i córka Halina. Nad nimi mieszkali Wróblewscy a od podwórza Józwiakowie. Następny dom, to dom zmieniający dosyć często właścicieli. Dziwowie, Krauze, Wilczyńscy, rodzice Ani Dąbrowskiej dziennikarki lubelskiej telewizji i inni. W drugiej połowie domu mieszkali od ulicy Pietrosiakowie a od podwórza szewc Jarząbek a później ta połowa domu stała się własnością Rusieckich z Antonówki. Za nimi w dużym drewnianym domu z licznymi przybudówkami mieszkała i mieszka rodzina Panasiewiczów, córki i syn Leona Panasiewicza. Dzisiaj nie żyje już Leon Panasiewicz, córka Irena, Krystyna i syn Ryszard. W domu tym mieszkają ich rodziny. Część domu podnajmowano lokatorom.

Przez pewien czas mieszkała tam nauczycielka Wróblewska a potem rodzina Respondków. W podwórzu w małym drewnianym domku mieszkała siostra Leona z córkami, była żoną też chyba wojskowego o nazwisku Roman, który po wojnie opuścił rodzinę i zamieszkał w Ełku. Panasiewiczze sąsiedowali z Heflichami. Dom Heflichów to był zlepek domów, z każdej strony dobudowano jakieś pomieszczenia o różnej wysokości, budynek ten był przedziwnym tworem, nie można było rozróżnić gdzie jest jego zasadnicza część a gdzie przybudówki. W domu tym oprócz Heflichów mieszkali, Wiśniewscy, Sawińcowie, Jasińscy, Morgan, Łój i inni. Wejścia do tego domu w zasadzie były z każdej strony. Od ulicy i od wspólnego wjazdu do Podkowików i Rządzkowskich z tym że od drogi wjazdowej dom oddzielał kanał ściekowy i kładki nad kanałem. Kanał a właściwie rów biegł od ulicy wzdłuż posesji na której mieszkali Heflichowie i inni, później wzdłuż posesji Panasiewiczów i wpływał do kanału Huczwy. Z braku kanalizacji ściekowej, wszelkie nieczystości wylewano do tego kanału. Nie trudno wyobrazić sobie zapaszek a szczególnie w okresie letnim jaki unosił się nad kanałem i w jego pobliżu. Kanał odprowadzał wody deszczowe, bywało że latem pojawiały się bardzo ulewne burze, wówczas kanał nie mieścił olbrzymiej ilości wody jaka pojawiała się na ulicy, woda przelewając się z jezdni podtapiała ten dom. Było to nasze najbliższe sąsiedztwo. Z tymi sąsiadami były utrzymywane codzienne kontakty, drobna pomoc sąsiedzka, pożyczki, odwiedziny. Tak jak to w dobrych stosunkach sąsiedzkich bywa. Oczywiście przesadą byłoby twierdzenie że tak było ze wszystkimi, ale w znacznej większości, tak. Owszem zdarzały się nieporozumienia, jakieś drobne kłótnie, nawet obrazy i zawieszanie kontaktów sąsiedzkich na jakiś czas, ale dotyczyło to zwłaszcza kobiet. Mężczyźni dalecy byli od takich przyziemnych spraw.

Naukę rozpocząłem w 1952 roku, zostałem zapisany a właściwie przypisany do szkoły nr 2, to wynikało z rejonizacji jaka w tym czasie obowiązywała. Razem ze mną naukę rozpoczęli, zaczęli od kolegów i koleżanek z mojej ulicy, a więc Lucyna Danilczuk-Piątkowska później dyrektorka szkoły kiedyś nazywanej odzieżową, Staszek Mszanecki, po jakimś czasie całą rodziną wyjechali do Trzemeszna, Jadzia Tutkaj, wyjechała do Wrocławia, Krzysiek Techmański, mieszka obecnie w Biastymstoku, Rysio Czajkowski, mieszka w Hrubieszowie, Jola Walczuk po mężu Bronicka, pracowała w Urzędzie Miasta, mieszka w Hrubieszowie, Hania Tamasik, ukończyła prawo mieszka w Zamościu, Irenka Gronowska obecnie warszawianka, Józek Gałań niestety już świętej pamięci, Jarek Rączkowski i Jagoda Pryl klasowe małżeństwo mieszkają chyba w Giżycku, Wiesio Skibiński pracował jako kustosz muzealny w Brzegu obecnie wrócił do Hrubieszowa, spotkałem go w Domu Kultury podczas imprezy z jakiejś okazji, w przerwie podszedłem do niego, nie przypomniał mi siebie, wymieniliśmy się numerami telefonów ale do dzisiaj milczą, czyżby aż tak lata zatępiły pamięć. Irek Garczyński, brak mi wiadomości o nim, pracowałem z jego starszym bratem

Mietkiem i młodszą siostrą w PBRol, Rysio Łaskiewicz mieszka w Hrubieszowie, Basia Grzybek obecnie Papuga, dzisiaj już emerytka, była dyrektorką biblioteki miejskiej mieszka w Hrubieszowie pamiętam Basia doszła do nas w klasie chyba 5 lub 6, Rysio Kowalczyk zwany „Kogutem” mieszkał na ulicy Partyzantów naprzeciwko domu Basi Wójcik, Basia wyszła za męża i wyjechała do Stanów Zjednoczonych, Edek Wasyluk z Wodnej/ nie żyje/ , Halina Tychmańska z Ludnej mieszka teraz w Warszawie, Marysia Pietrusiewicz z Podzamcza chyba nadal mieszka w Hrubieszowie, Mirek Wątróbka z 1 Maja brak mi informacji o nim, Piotruś Klimowicz z Polnej również brak mi informacji, Zosia Bochen-Krasnowska mieszkała kiedyś przy Partyzantów opadał szkoły krawieckiej nadal mieszka w Hrubieszowie, Marysia Żróbek-Świeca mieszka w Hrubieszowie, Suchecki Henryk z Ceglanej od kilku lat świętej pamięci, Łukiewicz Zygmunt mieszkał przy ulicy Ludnej, obecnie mieszka w Kryłowie, Maryńczak-Lutrowicz również świętej pamięci, Rudiuk-Pawełek, Osiński, Mazurek, Szefer, Lal, Grosman, Zosia Matłocha, Zakrzewski, Świstowski, Kopczyńska Ewa, Tyszkiewicz Bogdan, świętej pamięci Fedorczyk Zenon również świętej pamięci Józio Haręziak. Wiele imion i nazwisk uleciało z pamięci, przecież to już 61 lat minęło. Do klasy pierwszej i drugiej uczęszczałem do szkoły filialnej, zlokalizowanej w starym budynku przy ulicy Partyzantów.

Wychowawczynią klasy była Pani Zofia Cybulska, starsza Pani, bardzo surowa, wymagająca i jednocześnie bardzo opiekuńcza. Maluchy garnęły się do Pani, zwłaszcza w czasie przerwy. Lekcję zawsze rozpoczynała modlitwą „Duchu Święty, który oświecasz serca i umysły nasze....Siedzieliśmy w typowych szkolnych ławkach, siedzisko i pulpit stanowiły jeden zespolony element. W pulpicie był otwór w którym tkwiły szklane kałamarze. Woźny jeżeli była taka potrzeba napełniał je atramentem z wielkiej butli. Pisaliśmy początkowo ołówkami, a po kilku miesiącach nauki, po opanowaniu pisania, mogliśmy pisać obsadką. Drewnienko, podobne do ołówka, w dolnej części miało specjalny otwór do umieszczania w nim stalówki. Maczana w atramencie służyła do pisania. Zawsze trzeba było mieć zapas kilku stalówek. Łamały się często, szczególnie przy upadku z ławki na podłogę, co było nagminne. W czasie przerwy dostawaliśmy obowiązkowo dużą łyżkę tranu. Jak ja nie lubiałem tego śmierdzącego świństwa, zresztą nie tylko ja, wszyscy nie znosiliśmy tej tortury. Nie pamiętam w tej chwili czy serwowała tran wychowawczyni czy higienistka szkolna. Książki, zeszyty, ołówki nosiłem w tekturowym tornistrze, był jeden obowiązujący model, innych nie było. Moje drugie śniadanie mama wkładała do również tekturowej śniadaniówki, małego pudełka na pasku, zawieszanego na ramieniu. I tornister i śniadaniówka były w kolorze brązowym, nigdy nie widziałem tych przedmiotów w innym kolorze. Przez kilka pierwszych tygodni byłem prowadzany do szkoły przez mamę, ona również odbierała mnie ze szkoły, po kilku tygodniach oswojony niejako z trasą chodziłem już sam do szkoły i sam wracałem do domu. Szkołę od kościółka św. Stanisława Kostki, oddzielał wąwóz. Często w czasie przerwy ganiałiśmy po skarpie wąwozu, widzieliśmy kości ludzkie tkwiące w zboczu skarpy, pewnie był tam kiedyś cmentarz przy kościelny. Nie pamiętam by ktoś poza dzieciarnią szkolną interesował się tymi szczątkami. Do dzisiaj skarpa jest nie zabezpieczona, ale dostęp do niej utrudnia porastająca zbocze roślinność. Wawóz był skrótem do przejścia mostkiem na Sybir. W tym czasie płytkie wypiaszczone rozlewisko, u podnóża kościelnej góry było brodem dla zwierząt a także wozów konnych jeżdżących skrótem z Podgórze do północnej części Hrubieszowa. Prawie na nadrzecznej skarpie stała kuźnia, dojazd do kuźni był i od ulicy Wodnej, z wąwozu a także od ulicy Gęsiej. Z tej ulicy wąska ścieżka w skarpie wzgórza kościelnego prowadziła na jego szczyt i do kościoła św. Stanisława Kostki. Ulice Wodna i Gęsia typowe polskie drogi, nie utwardzone, i nie do przejścia w okresach wiosennych i jesiennych. W samym wąwozie przy jego wlocie od strony ul. Partyzantów po prawej i lewej stronie stały domy. Dachy i kominy domów stojących od strony ulicy równały się z poziomem jezdni i chodników. Często coś w tych kominach lądowało, w okresie zimowym celowano w nie kulami śnieżnymi, awantury z tego powodu nie były

rzadkością. W drugiej klasie doszedł nauczyciel o nazwisku Jastrzębski, niezbyt dobrze zapisał się w pamięci uczniów, z satysfakcją wymyślał kary dla rozbrykanych chłopców. Pod byle pretekstem targał za uszy, walił linijka po dłoniach albo wsadzał dwóch chłopców pod stół przy którym siedział i kopał raz jednego raz drugiego.

Do pierwszej komuni przygotowywali nas księża, Rogalski i Kowalczyk, lekcje religii w tym czasie prowadzono jeszcze w szkole, dopiero w późniejszych latach przeniesiono je do sali parafialnej przy kościele św. Mikołaja. W tamtych latach nie było jeszcze takiej pompy i zadęcia jak dzisiaj. Skromne sukienki dziewczyn i garniturki chłopców bez uduchnień i podkreślania statusu majątkowego rodziców. Jeżeli były jakieś przyjęcia z tej okazji to ograniczały się do wspólnego obiadu najbliższych. Nie pamiętam czy z okazji pierwszej komuni dostawaliśmy jakieś prezenty. Pamiętam natomiast doskonale przyjęcie dla dzieci w sali parafialnej przy kościele. Usadowieni przy długich stołach dostaliśmy kubek kakao i słodką bułkę. Myślę że było to konieczne, bo dzieci od rana nic nie jadły a uroczystości trochę trwały. Do dzisiaj nad moim łóżkiem wisi obraz jaki z tej okazji otrzymałem, z odpowiednią sentencją podpisany przez księdza prowadzącego.

Klasa trzecia to już nauka w budynku głównym szkoły przy ulicy Żeromskiego w tak zwanej wówczas dużej szkole. Chyba tylko Hrubieszów posiadał kuriozalną nawet na tamte czasy organizację szkolnictwa podstawowego. W jednym dwupiętrowym budynku ulokowano trzy szkoły podstawowe, nr 1, 2 i 3. Pod potrzeby tych trzech szkół podstawowych kierowanych przez trzech kierowników, podzielono budynek. Szkoła nr 1 kierowana przez Pana Szlonzaka dostała pół parteru i pół pierwszego piętra od strony południowej, szkoła nr 2, kierowana przez Pana Domaradzkiego otrzymała identyczny przydział ale od strony północnej, natomiast całe drugie piętro otrzymała szkoła nr 3 kierowana przez Pana Kisielewicza. Szkoły zgodnie egzystowały w tym jednym budynku, pomieszczenia szkoły ogrzewane były piecami, szatnie dla uczniów urządzone albo w klasie albo na korytarzu szkolnym. Ubikacje dla uczniów były poza budynkiem. Na podwórzu wzdłuż płotu od wschodniej strony stał niewielki budynek z wejściem od północy dla chłopców i południa dla dziewcząt. Budynek szkolny nie posiadał również instalacji wodociągowej. Na podwórzu szkoły królowała pompa i ona zabezpieczała potrzeby w zakresie dostarczania wody. Bardzo uciążliwym problemem były ropowane podłogi szkolne. Zwykle deski zaciągano raz w roku w czasie przerwy wakacyjnej ropą – olejem napędowym, dawała to efekt w postaci zawsze czarnych podłóg i nieznośnego smrodu. To ulokowanie trzech szkół w jednym budynku powodowało ciągłe wojny pomiędzy uczniami tych szkół. Uczniowie każdej szkoły uważali się za lepszych od innych. Były ciągłe utarczki i nie przepuszczanie się na schodach które służyły i dla szkół ulokowanych niżej i dla szkoły nr 3 z drugiego piętra. Interwencje woźnych i nauczycieli były zjawiskiem codziennym. Lekcje wuefu odbywały się na wspólnym dużym boisku i nie powodowało to konfliktów. W okresie zimowym zajęcia z tego przedmiotu prowadzone były albo w klasie albo na korytarzu. W późniejszym czasie postawiono barak w którym urządzono halę sportową. Podwyższona scena służyła również do organizowanych z różnych okazji uroczystości szkolnych. W baraku urządzono także gabinet lekarski i pokój higienistek. W tej szkole gdzie ulokowano klasy od trzeciej do siódmej pojawiała się już plejada nauczycieli, każdy przedmiot nauczany był w zasadzie przez innego nauczyciela. Z wielkim sentymentem wspominam nauczyciela matematyki Pana Wiechowskiego, starszek był dobrym pedagogiem ale nie radził sobie z rozbrykaną młodzieżą, starsi chłopcy którzy na skutek różnych życiowych zawirowań powtarzali po raz kolejny klasę i byli o dwa trzy lata starsi od nas popisywali się przed maluchami dokuczając nauczycielowi.

Chłopcy pasjonowali się filatelistyką, wymienialiśmy między sobą znaczki, uważając by nie naciąć się na kancera, znaczek bez ząbków czy naderwań. Przez jakiś czas uczęszczałem nawet na kółko filatelistyczne w młodzieżowym domu kultury. O ile się nie mylę, kółko to prowadził Pan Wincenty Piątak. Szybko znudziły mnie te zajęcia polegające głównie na ry-

sowaniu znaczków w zeszytach. Zacztywaliśmy się generalnie wszyscy no może z małymi wyjątkami w książkach Karola Maya. Winnetou, Old Surehand to byli nasi bohaterowie. Później pojawiła się fascynacja książkami Aleksandra Dumasa, czy też Juliusza Verne. Trzej muszkietierowie, Dwadzieścia lat później, Wicehrabia de Bragelonne, W 80 dni dookoła świata czy też Dzieci Kapitana Granta. Kolejki w bibliotece, pożyczanie od kolegów, książki te były dosłownie zaczytywane.

Bardzo popularna w szkole była gra w cymbergaja. Na ławce szkolnej oznaczało się dwie małe bramki i popychając grzebieniem lub kawałkiem linijki drobną monetę usiłowano ją wprowadzić do bramki przeciwnika. Wygrywał ten kto strzelił najwięcej goli przeciwnikowi. Po lekcjach, kiedy pogoda dopisywała, na szkolnym boisku rozgrywaliśmy mecze. Któryś z chłopaków przynosił swoją piłkę za którą ganialiśmy po boisku. Piłka a szczególnie skórzana i szyta ręcznie była rarytasem. O nowej można było marzyć. Mocno wyeksploatowana, wielokrotnie szyta i łatana, przechodziła za jakieś tam pieniądze lub wymianę za coś z rąk do rąk. Właściciel takiej futbolowej piłki mógł liczyć na szczególne względy grających, sam wybierał pozycję na której grał, ale często kończyło się tak, że obrażony słowem lub gestem zabierał swoją piłkę i gra się najzwyczajniej kończyła. W domu, po lekcjach i obiedzie a także odrobieniu zadanych prac domowych a tego już mama pilnowała dokładnie i wykonaniu jakiś tam prac w domu oddawaliśmy się przeróżnym zabawom i grom. Gra w kiczkę i palanta, piłka nożna, gra w noża a później pojawiła się gra w karty, najpierw niewinny dureń czy gra w tysiąca a z czasem pojawił się poker i gra w oko. Nie były to gry hazardowe na pieniądze, zastępowały je np. orzechy czy też zapalki. Popularną grą była zabawa w chowanego w której mogła brać udział nieograniczona ilość dzieci. Sami chłopcy namiętnie bawili się w podchody czy też policjantów i złodziei. Wieczorami w lecie, przesiadywaliśmy na schodkach domu Panasiewicza Leona. Było to miejsce spotkań okolicznej dzieciarni. Położone „centralnie” umożliwiało szybkie dojście a również było widoczne. Widok siedzącej jednej osoby powodował zaraz napływ innych. Wieczorami na schodkach zjawiał się Andrzej Panasiewicz z gitarą i zabawiał towarzystwo grą i śpiewem.

W maju wszyscy zbiorowo uczestniczyliśmy w majówkach przy kapliczce św. Antoniego. Dziewczyny sprzątały kapliczkę i otoczenie, przystrajały kwiatami a wieczorem wyśpiewywaliśmy często przy udziale dorosłych pieśni maryjne.

Szczególnym zajęciem, ale nie każdego, była jazda rowerem. W tym czasie królowały rowery marki Bałtyk oraz mocno zdezolowane rowery przedwojenne. Mój ojciec, pracownik PZGS miał możliwość kupienia w firmie w której pracował właśnie rower marki Bałtyk. Rower był środkiem lokomocji ułatwiającym dojazd do pracy. Na takim rowerze nauczyłem się jeździć. Dzisiaj już chyba nikt nie wie jak się jeździ na rowerze pod ramą. Rower był dla dorosłych, dzieciak by nim jeździć przekładał nogę pod ramą i tak wygięty trzymając kierownicę kręcił pedałami i jechał. Większość z nas właśnie w taki sposób zdobywała umiejętność jazdy rowerem. Ale już po podrośnięciu i sięganiu do pedałów z siodełka, szalalo się na rowerze przez całe wakacyjne lato. Najgorzej wspominam ciągle łatanie dziurawych dętek rowerowych, kupowało się łatki na goraco a polegało to na tym że w małym metalowym pojemniku znajdowała się substancja łatwopalna, podpalało się to po przykryceniu do dziurawej dętki, pod spodem pojemniczek miał przyklejoną łatkę gumową która pod wpływem temperatury przyklejała się do dętki i przykrywała dziurę jaka się w niej znajdowała. Nie wiem, czy dętki były słabej jakości czy też było mnóstwo gwoździ na drodze, ale faktem jest że ciągle łataliśmy dziurawe dętki. Jeździliśmy rowerami nad Bug na łowiska ryb, na Ostrów, do Gródka, były też dłuższe wycieczki do Kryłowa, Mienian czy też Strzyżowa. Z zazdrością patrzyliśmy na pojawiające się motorowery, ale ze względu na cenę były poza naszym zasięgiem.

Wspaniałą rozrywką było kino. Mieściło się w starym wybudowanym przed wojną budynku. Kiedyś funkcjonowało pod nazwą Roma a teraz było to kino Plon. Będąc dzieckiem chodziłem razem z ciotką Marysią na niedzielne poranki filmowe. Magia kina zapełniała

widzami całą salę i dół i górę-balkon. Dorośli korzystali z seansów wieczornych. Pamiętam, że grano codziennie dwa seanse o godz. 18.00 i 20.00. Około godziny 22.00 na ulicy pojawiały się spore grupy ludzi i wiadome było że wracają z kina. Tłumy ludzi przyciągały filmy z gatunku płaszcza i szpady oraz westerny. Te dwa gatunki filmów szczelnie zapełniały salę kinową. Hrubieszowskie kino Plon prowadziło także kino objazdowe, chyba jednym z pierwszych obsługujących to kino objazdowe które docierało do najdalszych zakątków powiatu był Marian Kozielski. Marian zwany przez przyjaciół Repa, był bardzo znaną postacią w Hrubieszowie. Uprzejmy, grzeczny i szarmancki wobec kobiet zaskarbiał sobie sympatię wielu ludzi. Parał się w życiu wieloma zajęciami ale sport był tym zajęciem któremu pozostał najwierniejszy. Zналиśmy się od dziecka, był rodowitym hrubieszowianinem tak jak ja. W tamtych latach wszyscy w Hrubieszowie znali się a przynajmniej z widzenia. Nawet dzisiaj spotykam się z reakcją ludzi hrubieszowian, którzy na widok drugiego hrubieszowianina uśmiechają się rozpoznając w nim jednego z niewielu już dawnych mieszkańców miasta. Przyznam się że dzisiaj mijam się na ulicy z ludźmi którzy w żaden sposób nie kojarzą mi się z Hrubieszowem. Czy zobaczę ich tutaj czy w Zamościu lub Warszawie, reakcja będzie taka sama, nie znam ich. Właśnie dawny Hrubieszów to ludzie i twarze znane od zawsze, od dziecka, poprzez różne okoliczności i zdarzenia. Ten dawny Hrubieszów zaczął zanikać w latach siedemdziesiątych ubiegłego stulecia. Nastąpiła wymiana ludzi, sporo młodzieży po ukończeniu studiów podejmowało pracę gdzieś w Polsce i Hrubieszów stawał się dla nich tylko miejscem urodzenia. Rozwój przemysłowy Hrubieszowa, co prawda skromny ale wymagał ręk do pracy a to powodowało napływ ludności. Również rozwój budownictwa mieszkaniowego zwłaszcza spółdzielczego powodował że ta ludność napływowa znajdowała tutaj swoje miejsce do życia. Tak rodził się nowy Hrubieszów z innymi potrzebami, nawykami, mentalnością. Powstałe na obrzeżach miasta osiedle domków jednorodzinnych, nazwane później Osiedlem Jagiellońskim zdominowane było w znakomitej większości przez przybyszów z zewnątrz. Przyszli ze swoimi zwyczajami i nawykami. Zintegrowanie z miejscowymi zwyczajami i mentalnością nie nastąpiło w pełni do dzisiaj. Wielu z nich po przejściu na emeryturę wraca do swoich gniazd rodzinnych, sprzedając lub przekazując mieszkania czy też domy swoim dzieciom. Ich dzieci tutaj urodzone i wychowane inaczej traktują to miejsce, tutaj czują się u siebie. Opisany problem dotyczy nie tylko Hrubieszowa. Cała Polska była terenem wielkiej migracji, szczególnie ludzi młodych, wszelkie przenosiny wiązano z polepszeniem warunków życia, ucieczką do większego świata niż ten w którym mieszkali. Jednak nostalgia do miejsc rodzinnych, znajomych kątów do zapamiętanych zapachów powoduje często powroty na stałe do tego najpiękniejszego miejsca na ziemi jakim jest miejsce gdzie stawialiśmy pierwsze kroki, dorastaliśmy, poznawaliśmy świat.

Wyrwanie się do innego większego świata czasami tylko na czas nauki albo i też na stałe powodowało poznawanie nowych ludzi. W większości przypadków byli to nowi koledzy szkolni, nauczyciele, wychowawcy, ludzie u których mieszkaliśmy. Doskonale pamiętam moich nowych nauczycieli w lubelskich szkołach. Z sentymentem wspominam profesora polonistyki Józefa Zakrzewskiego, pochodził z Podlasia z rodziny szlacheckiej, co często podkreślał. Wśród kolegów szkolnych miałem również takich którzy pochodzili z rodzinnej miejscowości profesora. Darzył ich szczególnym względem. Dlaczego wspominam z sentymentem, otóż profesor prowadził kółko polonistyczne, zajęcia na tym kółku nigdy nie odbywały się w sali szkolnej. Z grupką młodzieży wybierał się na spacer na obrzeża Lublina i w czasie spaceru prowadzono dyskusje literackie które potrafił aranżować w sposób niezwykły, często temat miał związek z czymś co spotykaliśmy w czasie spaceru. Matematyki uczył nas profesor Leszczyński, wysoki lekko przygarbiony starszy Pan. Matematyk którego wielką pasją była historia, pamiętam jak zapytał mnie na jednej z pierwszych lekcji czy Tomasz Wawrzecki, uczestnik insurekcji kościuszkowskiej i następca Kościuszki po jego ujęciu przez wojska carskie jest moim kuzynem. Deklarował nawet przyniesienie

reprodukcji portretu Tomasza, ale pewnie zapomniał o tym a ja nie upominałem się o to i nie doszło do tego. Języka rosyjskiego uczyła nas Pani profesor Jaroszyńska, pochodziła z kresów, ojciec jej był leśniczym, często opowiadała o tym. Pani profesor nie znosiła dziewczyn, wyrażała się o nich „niskoskanalizowane”, chłopcy natomiast mieli wielkie fory. Ubierała się ekstrawagancko, niezwykle wysokie szpilki w których poruszała się z wielką gracją, bardzo statecznym i dostojnym krokiem, wydawało się że płynęła korytarzem szkolnym.

Historię wykladał profesor Tracz, pochodził ze Lwowa, wspominał ten Lwów często i mówił to Polskie miasto powinno wrócić do Polski, ale zależy to od was. Był bardzo odważny, nie bał się młodzieży do której mówił te słowa, a za takie słowa w tamtym czasie groziła odsiadka, ale zaufał nam i nie zawiódł się, bo to co mówił zostało między nami, nigdy nie doznał przykrości z tego powodu. Ekonomiki przedsiębiorstw uczył nas profesor Stryjecki, niewielkiego wzrostu z krótkimi rączkami biegał po klasie i przykładał nieswornym uczniakom kuksańce w bok. Największy ubaw był jak profesor zlecał wykonanie pomocy naukowych np. kawałek ściany czy też muru, rusztowanie i pracujących murarzy. Przy odbiorze prac, które często trzeba było kupić w sklepie z pomocami szkolnymi, zwracał głośno uwagę uczniowi, „co żeś prawda -/a było to jego ulubione słowko/-durniu zrobił, to ma być murarz, a gdzie jego wymazany wapnem nos” i praca szła do poprawki. Profesor miał szklarnię na Sławinku, często w okresie zimowym wysyłał dwóch, trzech chłopców w czasie lekcji a było to niedaleko od szkoły do sprawdzenia pieca i dorzucenia opału. Przynależność obronną prowadził major Horecki, emerytowany wojskowy, pochodzenia żydowskiego. Niewysoki o bardzo charakterystycznych rysach, nie przebiegał w słowach, chłopak ociągający się podczas strzelania czy też marszobiegów mógł często usłyszeć „co tak się ruszasz, ja...ja ci się spociły” i inne w podobnym stylu słowa. Statyki i żelbetu uczył profesor Sereżyński, zwany „ekiem”, co drugie zdanie zaczynał od słówka -ek. „Ek kochasiu, oblicz zbrojenie swobodnie podpartej belki na obciążenie takie to a takie.” Bardzo poważny, zasadniczy, bez uśmiechu, przez całą lekcję skupiony tylko na wykładzie, nie było możliwości śliznięcia się na tym przedmiocie, odpytywał bardzo dokładnie. Gdzieś na początku lubelskiej szkoły, zajęcia z wuefu prowadził emerytowany major Czarnecki. Jakoś tak było w latach sześćdziesiątych ubiegłego wieku, że wielu wuefiarzy w szkołach średnich to właśnie byli oficerowie wojska polskiego. Takim był właśnie wuefista Czarnecki, Romanica a od przysposobienia wojskowego Horecki. Któregoś roku na pochód pierwszomajowy major Czarnecki przyszedł z japońskim radiem tranzystorowym wielkości pudełka zapalek. Boże, jakie to było wydarzenie, widziało się radia tranzystorowe ale słusznej wielkości jak Szarotka czy inne tego typu ale takiej wielkości nie widywało się. Młodzież, nauczyciele obścapił majora a on z dumą prezentował to cacko. Dyrektorem Państwowych Szkół Budownictwa w Alejach Racławickich był w tym czasie Edward Halbożek, człowiek o gołęmbim sercu, uśmiechnięty, życzliwy dla młodzieży. Zastępcą był Zbigniew Basta, choleryk, nerwus, opowieści chodziły o tym jak rozmawiał z wezwanym do gabinetu uczniem. Opowiadano że w nerwach chwycił za krzesło żeby tym sprzętem przyłożyć podpadniętemu uczniakowi. Nie zdarzyło mi się nigdy być wezwanym do Basty na dywanik. Widok przechodzącego korytarzem Basty powodował że korytarz pustoszał, wszyscy momentalnie stali pod ścianami czekając na oddalenie się zagrożenia. Każdy uczeń obowiązkowo musiał mieć na rękawie tarczę szkolną która identyfikowała szkołę do której uczęszczał. Rano przed godziną ósmą w drzwiach szkoły stał dyżurny nauczyciel i sprawdzał czy na rękawie jest tarcza. Nauczyciele w różny sposób podchodzili do tego swojego obowiązku, jedni sprawdzali pobieżnie, widzieli tarczę i wpuszczali uczniaka ale byli i tacy którzy szarpali za tarczę sprawdzając czy jest solidnie przyszyta do rękawa. Złośliwi koledzy mocowali tarczę szpilkami tak by szarpiący pokłuł palce, kończyło się to awanturą i jakąś karą.

Wykładowcą głównych przedmiotów zawodowych był inżynier Marian Owczarek, dyrektor

lub zastępca dyrektora w wojewódzkim przedsiębiorstwie urządzeń wodnych, tak to się chyba nazywało. Człowiek dusza, nikomu krzywdy nie zrobił, wielki praktyk i te swoje umiejętności usiłował wtłoczyć nam do głowy. Organizował wycieczki na place budów, mieliśmy nawet wyjazd do Warszawy na obejrzenie eksperymentalnego przedsięwzięcia jakim było przesunięcie kościoła pw NMP w Warszawie stojącego na budowanej trasie WZ. Przesunięcia o 21 metrów dokonano w nocy z 30 listopada na 1 grudnia 1962 roku. Organizował również praktyki wakacyjne. Najmilej wspominał odbytą praktykę na Wiśle w okolicach Dębina. Zakwaterowanie na stateczku zwanym koszarką który był pływającym biurem kierownika budowy i hotelem dla zatrudnionych ludzi. Beztrioskie młodzińcze lata miały się niebawem skończyć.

Po zdaniu egzaminów maturalnych, otrzymaniu świadectwa dojrzałości i dyplomu technika budownictwa wodnego trzeba było pomyśleć o pracy. W Hrubieszowie w tym czasie a był to rok 1967 budowano most na Huczwie łączący Sławęcین ze śródmieściem dzisiejszą ulicą Ciesielczuka. Roboty budowlane prowadziła chełmska firma. Mój nauczyciel i wychowawca inż. Owczarek zaproponował mi podjęcie pracy na tej budowie. Lubelski zarząd budownictwa wodnego nadzorował to chełmskie przedsiębiorstwo i z tej racji pojawiła się ta propozycja. Pojawiłem się na budowie u kierownika, ale ten pierwszy pobyt tak mnie zraził że zrezygnowałem z tej pracy. Wrażenie bałaganu, haosu i podpitych robotników miało na to wpływ. Za namową sąsiada, syna mojej chrzestnej matki, Zbyszka Warchulskiego który był kierownikiem Nadzoru Telekomunikacyjnego w Hrubieszowie podjąłem od 1 lipca 1967 roku pracę w tej firmie. Zanim nie znajdziesz coś w swoim zawodzie mówię, możesz tutaj popracować. Pracował tutaj mój starszy sąsiad Mirek Heflich a także Stasio Kraszewski. Przepracowałem rok, rok ten zaważył na moim dalszym życiu. Tutaj w czasie pracy poznałem Grażynę Techmańską, przyszłą żonę. Od 1 września 1968 roku podjąłem pracę w szkole budowlanej jako nauczyciel zawodu. Było to nowe doświadczenie życiowe, jeszcze niedawno sam byłem uczniem a teraz miałem być nauczycielem. Podjęcie tej pracy obligeowało do podjęcia nauki w zakresie zdobycia przygotowania pedagogicznego.

Tak się złożyło w tej szkole jako nauczyciele zawodu pracowali również moi koledzy i sąsiedzi, Jasio Zderkiewicz i Andrzej Panasiewicz. Oprócz nich pracowali wtedy również jako nauczyciele zawodu Henio Kędziera, Stasio Świętoniewski. Podjęliśmy naukę w zaocznym Studium Pedagogicznym w Lublinie na ulicy Narutowicza. Szkoła budowlana w której pracowałem organizacyjnie przypisana była do Zasadniczej Szkoły Mechanizacji Rolnictwa. Dyrektorem szkoły w tym czasie był Andrzej Tokarski a zastępca Zygmunt Tuczapski. Bardzo miłe wspominałem zastępcę, człowiek wysokiej kultury i z klasą, czego nie można było powiedzieć o naczelnym. Moim zdaniem był typowym wytworem tamtych czasów, spolegliwy wobec władzy i mocno się z nią identyfikujący, to chyba było powodem że w momencie utworzenia nowych karłowatych województw w 1974 roku został pierwszym kuratorem oświaty w Zamościu, co prawda na krótko, ale jednak.

Wracając do pracy w szkole, poznałem wtedy wielu nowych ludzi. Kazio Kraj, Stasio Typek, Stasio Aleksandrowicz, Aldona Misiura niezwykle koleżeńska i przyjacielska, spotykaliśmy się u niej w domu na imprezach jakie organizowała. To byli młodzi ludzie mniej więcej w naszym wieku. Ze starszych pamiętam Miecia Czuwarę nauczającego teorii z zakresu budownictwa, Chmarzyński Mieczysław, słusznej budowy mężczyzna często zajmujący się aprowizacją składkowych zabaw, wyładał przedmioty zawodowe. Matematyki uczył Pan Ostrowski zwany „ikszeń”, ponieważ tak wymawiał jedną z niewiadomych. Również nauczycielem przedmiotów zawodowych był Pan Krzyszczyk. Jedną z polonistek była Pani Stanisława Burda znana hrubieszowska poetka, jej mąż Benek Burda był nauczycielem zawodu w tej samej szkole. Również nauczycielami zawodu w warsztatach szkoły mechanicznej-popularnie tak nazywanej byli, Stefan Koziulewicz, Zdzych Pietrusiewicz, Gałan imienia w tej chwili nie pamiętam i wielu wielu innych, Czas ten wspominałem miłe. Przepracowałem w tej szkole dwa lata. W tym czasie razem z Grażyną

podjęliśmy decyzję o zawarciu związku małżeńskiego. Małżeństwo, perspektywa otrzymania mieszkania spowodowało że od 1 września 1970 roku podjąłem prace w Przedsiębiorstwie Budownictwa Rolniczego w Hrubieszowie, nie ukrywam że do podjęcia pracy w tej firmie zachęcił mnie jej dyrektor Czesław Buczkowski, przyjaciel moich teściów. Przedsiębiorstwo produkcyjne a w dodatku realizujące swoją produkcję czyli obiekty budowlane różnego typu na terenie powiatu znacznie różniło się od moich dotychczasowych miejsc pracy. W przedsiębiorstwie byłem zatrudniony na stanowisku inspektora ds bezpieczeństwa i higieny pracy. Specyfika pracy całkowicie odmienna od dotychczasowej, polegała na kontroli stanu bezpieczeństwa pracy na budowach. Na tym stanowisku przepracowałem 9 lat, około roku 1979 przeszedłem do pracy w dziale przygotowania produkcji gdzie zajmowałem się opracowywaniem projektów umów zawieranych z kontrahentami. Zajęcie to było zgodne z kierunkiem studiów jakie podjąłem na wydziale prawa i administracji UMCS w Lublinie. Dyrekcja w firmie zmieniała się co kilka lat, Czesław Buczkowski odszedł w 1974 roku a na jego miejsce przyszedł Franciszek Jarosz dotychczasowy dyrektor PBRol w Chełmie Lubelskim. Wspaniały człowiek, doskonale rozumiejący człowieka i jego potrzeby, potrafił doceniać ludzi. Jak każdy człowiek miał i swoje słabości i wady, ale któż ich nie ma. Wiedząc o trudnej sytuacji mieszkaniowej wielu pracowników przedsiębiorstwa rozpoczął budowę budynków mieszkalnych. Pierwszym był budynek 30 rodzinny na osiedlu Popówka, był to budynek realizowany wspólnie z wydziałem rolnictwa miejscowego urzędu powiatowego, 10 mieszkań przeznaczonych było dla urzędu pozostałe otrzymali pracownicy. Stasio Chilewski, przyszły działacz Solidarności i więzień stanu wojennego, zajmował się sprawami inwestycyjnymi. On załatwiał wszelkie sprawy związane z realizacją tego budynku. Wiele młodych rodzin otrzymało mieszkania w tym budynku. Zamieszkaliśmy w m3 na drugim piętrze od strony wschodniej, na tym samym piętrze zamieszkali w m5 Wanda i Józek Marciniukowie a w kawalerce Alka i Leszek Buczkowscy. Pietro niżej w m5 zamieszkali Chilewscy, Teresa i Stanisław a w m5 na parterze rodzina Misiaszków. Kolejne m5 na trzecim piętrze zajmowali Stacharscy a nad nimi w takim samym metrażu zamieszkał z-ca dyrektora Henio Zalewski z żoną Ziątą. Dzisiaj nie żyje już Wandzia i Józek Marciniukowie, pochowani są na miejscowym cmentarzu w Hrubieszowie. Nie żyje też Henio Zalewski, zmarł w wyniku doznanych obrażeń podczas wypadku samochodowego. Alka i Leszek Buczkowscy mieszkają w Lublinie, Leszek dostał pracę w którymś z przedsiębiorstw nadzorowanych przez Zjednoczenie Budownictwa Rolniczego, które również zabezpieczyło im mieszkanie na osiedlu Tatary. Stasio Chilewski zaangażował się w działalność Solidarności, zaskutkowało to tym, że po wprowadzeniu stanu wojennego został internowany. Po zwolnieniu postanowili wyjechać do Kanady, stało się to 18 października 1984 roku. Mieszkają w Edmonton w stanie Alberta. Misiaszkowie po powiększeniu rodziny przenieśli się do większego mieszkania na osiedlu Piłsudskiego w Hrubieszowie. Natomiast Stacharscy wybudowali dom w Chełmie i tam się przenieśli. W tym samym budynku ale od strony zachodniej w m4 na pierwszym piętrze mieszkali Barańscy, moja siostra Elżbieta z mężem Juliuszem. Oni również wyjechali z Hrubieszowa, stało się to po śmierci naszej mamy, która zmarła 31 grudnia 1980 roku. Zamieszkali w Lublinie, Julek został dyrektorem PBRol Lublin a po jakimś czasie powołano go na dyrektora wydziału budownictwa w Urzędzie Wojewódzkim w Lublinie.

Wracając do PBRol hrubieszowskiego, które jako jedyne przedsiębiorstwo w Hrubieszowie posiadało zakładowe budynki mieszkalne. Największe ich skupisko było na dawnej ulicy Bożnicznej, było tam w sumie cztery budynki mieszkalne i hotel pracowniczy ze stołówką. W budynkach mieszkała jak pamiętam nie tylko kadra kierownicza ale również szeregowi pracownicy. W stosunkowo nowym budynku oddanym do użytku za czasów dyktowania Czesława Buczkowskiego zamieszkało trochę ludzi zwerbowanych z innych terenów, nawet z Bydgoszczy. Niektórzy z nich zapisali się niesławą w pamięci, ulotnili się szybko pozostawiając po sobie długi i oszustwa. Ale właśnie tak często bywało, że werbo-

wani ludzie to byli ludzie z marginesu, był nawet epizod z dyrektorem oszustem z podrobionymi dyplomami, wyprowadzono go w kajdankach, nazywał się Niewiadomski. Z miejscowych, starych mieszkańców i pracowników mieszkanie otrzymał tam szef transportu Henio Budnik, akowiec, człowiek niezwykle uczynny i powszechnie lubiany za przyjazny stosunek do ludzi. Nie cierpiał władzy i stale był z nią w konflikcie. Mieszkał tam również szef produkcji Henio Piniaż, kierownik budowy Antoś Kuszmirus, kierownik działu przygotowania produkcji Janusz Kuźniarski. W starszym budynku stojącym w miejscu wyburzonej bożnicy mieszkali również pracownicy przedsiębiorstwa, Halina Demczuk pracownik księgowości, Krystyna Szostak pracownik kadr, Sanek instruktor OHP, Wiśniewski stolarz, Pyda malarz. W stojącym przy tej samej ulicy małym chyba 4 rodzinnym budynku mieszkał kierownik stolarni Stanisław Brzóska, pracownik księgowości Feliks Załoga i kierowca Dziunek Piątek. W takim samym 4 rodzinnym budynku stojącym naprzeciwko mieszkał Miecio Nosko zaopatrzeniowiec, Gienia Tracz kierownik budowy i inni, wielu nazwisk już nie pamiętam. Sporo osób z wyżej wymienionych niestety już nie żyje. Kontynuując wątek mieszkań trzeba wspomnieć o kolejnych budowanych przez dyrektora Franciszka Jarosza budynkach. Chwytał się różnych form by przezwyciężyć trudności i dać ludziom mieszkania. Takim właśnie sposobem w ramach budownictwa patronackiego, rzekomy patronat organizacji młodzieżowych, powstał budynek 50 rodzinny na osiedlu Popówka z adresem 3 Maja 12a. W trakcie budowy pojawiło się zagrożenie, władza zamojska karłowatego województwa chciała budynek przejąć na potrzeby budowanego LHS, ale dyrektor Jarosz zdołał obronić. W budynku oddanym do użytku w czerwcu 1978 roku, zamieszkali pracownicy PBRol, PSTBRol, PRIMBRol i PPPBRol. Firmy te charakteryzowało to że zrzeszone były w jednym Zjednoczeniu Budownictwa Rolniczego. Kilka mieszkań otrzymali też pracownicy Zakładu Energetycznego w Hrubieszowie, który współpracował przy realizacji budynku. Budynek po zasiedleniu został przekazany Hrubieszowskiej Spółdzielni Mieszkaniowej. Następny budynek realizowany takim samym sposobem na tym samym osiedlu to wielosegmentowy 110 rodzinny z adresem 3 Maja 22. Nic dziwnego że praca w PBRol stała się pożądanym dla ludzi oczekujących na mieszkania.

W przedsiębiorstwie jak już pisałem pojawiło się wielu pracowników z tzw Polski, pamiętam w dziale przygotowania produkcji pracowała dziewczyna która zjechała do Hrubieszowa z matką. Otrzymała mieszkanie w nowym budynku na dawnej ulicy Bożnicznej, przemianowanej później na Płk. Samary, jeszcze później na 27 Wołyńskiej Dywizji AK a teraz na Pogodną. W dziale przygotowania produkcji zajmowała się kompletowaniem dokumentacji technicznej obiektów budowlanych realizowanych przez przedsiębiorstwo i prowadziła bibliotekę techniczną. W budynku mieszkalnym znani byli z podejrzliwości wobec sąsiadów, skarżyły ich nawet na milicję że kanałami wentylacyjnymi wpuszczają im do mieszkania gaz trujący. W tym samym budynku mieszkał również zwerbowany jako super fachowiec, facet zajmujący się kreśleniem, pracownię zajmował wraz z żoną również niezbędnym fachowcem, on zajmował się kreśleniem a ona temperowaniem ołówków do kreślenia, pracowali razem, całą robotę odwałował on. Czmychneli z przedsiębiorstwa, wcześniej wyłudząc bez zapłaty-rzekomo odroczonej w czasie- auto osobowe od księdza gdzieś tam z południa powiatu. Mało tego dwóch sąsiadów wystawili do wiatru i narazili na spłatę zaciągniętej w banku pożyczki, żyrowali złodziejom jak się okazało. Naiwne myślenie dyrektora że zwerbuje solidnych i uczciwych fachowców tak właśnie zaskutkowało.

Szefostwo ślusarni, kuźni, spawalni i zbrojarni sprawował były żołnierz armii Andersa. Po wojnie osiedlił się w Szkocji, tam wziął ślub, Chyba w 1948 roku powrócił do kraju. Jak każdy wracający z zachodu doznał szykan ze strony służb bezpieczeństwa. Jakoś to wytrzymał. Mój kuzyn po powrocie zaszczytowany przez bezpieczeństwo popełnił samobójstwo. Pan Prystupa, szef ślusarni, przez przyjaciół zwany Szkotem był człowiekiem niezwykle spolegliwym. Szanował ludzi i był przez ludzi szanowany. Był fachowcem i to bardzo do-

brym fachowcem, potrafił rozwiązać każdy pojawiający się problem techniczny. Ale miał również swoje słabości, to on wraz z głównym mechanikiem skonstruował w jednym z garaży na terenie bazy przedsiębiorstwa urządzenie do produkcji księżycówki. Urządzenie działało sprawnie i nie jeden z kolegów popróbowował tego specjału. Zmarł nagle podczas wyjazdu do syna na Śląsk, doznał zatrucia tlenkiem węgla. Ojca godnie zastąpił syn Zbyszek, który przejął po ojcu kierownictwo.

Kierownikiem stolarni znajdującej się w tym samym budynku co ślusarnia był Stanisław Brzóska. To on biedził się nad wykonaniem kaprysu jednego z kacyków zamojskich. Dyrektor Franciszek Jarosz został zobowiązany przez tegoż kacyka do wykonania i sprezentowania kompletu mebli kuchennych. Oczywiście o jakiegokolwiek odpłatności nie było mowy. Stolarnia zajmowała się produkcją różnych elementów dla potrzeb budownictwa rolniczego, mebli nikt tam nie robił, ale kaprys władzy był rozkazem. Meble wykonano przetransportowano do mieszkania i zaczęła się awantura, dyrektor porządnie oberwał bo mebelki nie odpowiadały wyobrażeniom kacyka, podobno wyladowały w jego piwnicy. Praca w przedsiębiorstwie stawiała się w wielu przypadkach rodzinną tradycją. Tak było w rodzinie Jana Prystupy, pracował on i syn, tak też było w przypadku Brzósaków, pracował ojciec, córka Ania, syn Tomek i żona Tomka Lucyna. Magazynem głównym przedsiębiorstwa kierowało małżeństwo Bydlińskich. Kierownikiem działu ekonomicznego był Zbyszek Wężyk a żona Kasia pracowała w dziale wykonawstwa kierowanym przez Henia Piniązia. Kierownikiem działu przygotowania produkcji był przez jakiś czas Pan Antoni Jaworski, lwowianin po wojnie mieszkający w Krasnymstawie. Na skutek zawirowań życiowych podjął czy też otrzymał pracę w hrubieszowskim przedsiębiorstwie. Pogodny, zawsze uśmiechnięty, uprzejmy i szarmancki. W tym samym dziale przygotowania produkcji pracował Jan Rządkowski, człowiek z naturą anglika. Z pewną dozą angielskiej flegmy potrafił rozwiązywać skomplikowane problemy natury technicznej. Studiował na politechnice warszawskiej i na skutek uwikłania się w działalność polityczną został relegowany z uczelni. Razem z Jaworskim stanowili skuteczny tandem techniczny w tym dziale. Niepokorny w życiu, regulamin, dyscyplina może i są potrzebne, ale Pan Jan miał własną filozofię życia, *langsam, langsam*. Godzina 7.00 to była jakaś umowna godzina, Pan Jan czekał gdzieś po drodze do firmy na transport. Zdarzało że ten transport zdarzał się czasami o 7.00 czasami o 8.00 a bywało że przed 9.00. Te późne przyjścia były powodem niezadowolenia dyrekcji. Były rozmowy dyscyplinujące, upomnienia, nagany, pozbawianie premii ale nie zdarzyła się nigdy próba wyrzucenia z pracy. Pan Jan był zbyt cennym fachowcem, jego umiejętności rozwiązywania trudnych problemów technicznych ustawiały go wysoko w hierarchii zawodowej przedsiębiorstwa. Pamiętam jak Stasio Chilewski podjął pracę na budowie w Turkowicach i zdarzył się problem ze skomplikowaną konstrukcją drewnianej więźby dachowej na zabytkowym budynku dawnego monasteru prawosławnego, wezwany na ratunek Pan Jan rozwiązał problem bez trudności. W tym najważniejszym dziale dla przedsiębiorstwa jakim był dział przygotowania produkcji pracował także Edmund Man i Janusz Kuźniarski, w odwrotnej kolejności każdy z nich przez jakiś czas kierował tym działem. Henio Piniąź szef wykonawstwa miał do pomocy Edwarda Cybę lotnego inspektora technicznego budów i fakturzystkę, przez pewien czas była nią Krystyna Traczuk a po jej wyjeździe do Lublina Kasia Wężyk. Dla Krystyny Traczuk wyjazd do Lublina zakończył się tragicznie, zginęła w nie wyjaśnionych okolicznościach. Co jakiś czas aby usprawnić i przyspieszyć proces produkcyjny powoływano kierowników grupy robót. Z reguły byli to doświadczeni kierownicy budów lub też pracownicy techniczni zarządu. Kierownik KGR Północ lub KGR Południe, różnie nazywano te twory. Antoś Kuszmiruk, jeden z kierowników, niewysoki, nerwowy z pękatą teczką pełną dokumentów z samego rana oblatywał wszystkie działy, produkcję pomocniczą i po załatwieniu pilnych spraw jechał lustrować podległe „włości”. Drugi z kierowników Januszek Kuźniarski, szczupły, wysoki z uśmiechem na twarzy, nigdy nie było wiadome mówi prawdę czy jak dzisiaj mówi młodzież

ściemnia. Waldek Stacharski, jeden z pierwszych właścicieli auta, miał „syrenkę” którą częściej używał jako środka transportowego materiałów na budowę niż jako auto rodzinne. Awansował i został zastępca dyrektora ds ekonomicznych. Po latach wybudował dom w Chełmie i tam się przenieśli. Bodzio Misiaszek, nerwowo poruszający ramieniem, zbudował chyba wszystkie obiekty dla szkoły rolniczej w Turkowicach. Był moim sąsiadem. Bodzio odstąpił nam /już będąc na emeryturze/ działkę ogrodową na tzw błotach przy ul. Działkowej. Ile ta działka przyniosła nam rozczarowań i przykrości. Corocznie była zalewana wodami roztopowymi czy też ulewnymi deszczami co uniemożliwiało jej zagospodarowanie. Wszelkie nasadzenia i zasiewy były niszczone przez wodę. Doszedł jeszcze niezycziwy sąsiad a już po rezygnacji z działki okazało się że nawet amator cudzej własności. Ale wracając do firmy nie sposób pominąć całej plejady kierowników budów w terenie. Lonek Mandebura, kryłowianin, wesoły, usmiechnięty i zawsze pogodny tak jak jego żona nauczycielka, kierował budowami na południu powiatu. W Lipinie kierownikiem budowy był Rysio Gniatkiewicz, bydgoszczanin, który z powodów zdrowotnych dziecka musiał na jakiś czas zmienić klimat Bydgoszczy. Po nim kierownictwo budów w Lipinie przejął Józek Marciniuk, zbudował tam agromiasteczko, sektor produkcyjny i sektor mieszkalny z pełną infrastrukturą socjalną, mieszkańcy otrzymali nawet dom kultury z kinoatrem. Mandebura i Steciuk kierowali chyba budową w Białymstoku obok Lipiny. Edek Białonoga, budował o ile dobrze pamiętam internat w Dubience, a wcześniej pracował w Turkowicach razem z Bodziem Misiaszkiem. Zawsze pełen inicjatywy i pomysłów, życzliwy i przyjazny ludziom człowiek. Takim chyba stałym wrosłym w teren dołhobyczowski kierownikiem był Jan Stypura. Nie uznawał autorytetów, był autorytetem sam dla siebie, nie wierzył nikomu, nawet spisy inwentaryzacyjne sam sporządzał za komisję spisową bo jej nie ufał. Załogę trzymał krótko, w żadnej sprawie nie było dyskusji. Adam Ślązak z Horodła, nazywany przez kolegów Adaśko był jednym z lepszych kierowników budowy, awansowany na zastępcę dyrektora ds technicznych chyba nie bardzo sprawdzał się, koledzy za jego plecami pokpiwali z jego sposobu wystawiania się i manier. Kostek Witer kierował budową sektora spółdzielczego w Grabowcu, obiektami dla SHR w Miaczynie i budową domu kultury w Trzeszczanach. Roman Landman zbudował między innymi budynek Praktycznej Pani przy ulicy 1 Maja, obecnie Piłsudskiego w Hrubieszowie, potem zrezygnował z pracy w wykonawstwie i został kierownikiem magazynu głównego na bazie przedsiębiorstwa. Dyrektor Franciszek Jarosz ułatwiał ludziom awans, wierzył ludziom, wielu kierowników budów to wcześniej fachowi pracownicy bezpośredniej produkcji, instruktorzy OHP. Dawał ludziom szansę, w Tomaszowie Lubelskim otworzono średnią szkołę techniczną dla takich ambitnych pracowników. Edek Białonoga, Fredek Szewczuk, Adam Ślązak, Lutek Paczos to absolwenci tomaszowskiej szkoły. Przy firmie działał Ochotniczy Hufiec Pracy dający młodzieży szansę zdobycia zawodu i podjęcia pracy w przedsiębiorstwie. Zakwaterowani w miejscowym hotelu robotniczym na ul. Płk. Samary, obecnie jest to ulica 27 Wołyńskiej Dywizji AK w dawnym hotelu ulokowano teraz miejscowy Urząd Skarbowy. Komendantem OHP został Zenon Panasiewicz, przez jakiś czas w komendzie hufca pracował Jurek Krzyżewski dzisiejszy prezes TRH a także J. Lipnicki późniejszy pracownik Pewexu skąd nagle wyjechał do USA ku strapieniu wielu swoich znajomych, zastępcami komendanta byli Zdzych Dziewickiewicz, Janusz Sagadyn, Karol Visioli, Jurek Chaber i inni. Junacy pod okiem instruktorów praktycznej nauki zawodu zdobywali szlify budowlańców, po południu w szkole uzupełniali wykształcenie w zakresie szkoły podstawowej i zawodowej. Trochę później utworzono OHP dla budów na południu powiatu. Junacy zakwaterowani byli w hotelu robotniczym w Poturzynie. Komendantem poturzyńskiego OHP był Józwiak. W tamtych latach wszyscy borykali się z trudnościami w zaopatrzeniu materiałowym. Dział zaopatrzenia zatrudniał sporo osób, większość z nich praktycznie stale była w podróży. Układy, znajomości, prezenty a wręcz łapówki ułatwiały załatwianie niezbędnych materiałów i surowców, było to rzeczywiście załatwianie bo o normalnych zakupach nie można

mówić. Często tak bywało że zaopatrzeniowiec zaopatrzony w alkohol, kawał świni czy też pieniądze jechał do hurtowni i wtedy miał szansę na zakup. Premie dla zaopatrzeniowców nikogo nie dziwiły, bo też i te premie przeznaczone były właśnie na takie sprawy.

Pamiętam jak Główny Mechanik z zapasem samogonu i połówką świni jechał po części samochodowe, inaczej nie było szans. A to przecież warunkowało normalną pracę przedsiębiorstwa. Na naradach produkcyjnych organizowanych przez dyrekcje ciągle przewijały się problemy materiałowe. Marian Ziarkiewicz szef zaopatrzenia jego zastępca Miecio Nosko i pracownicy Stasio Hapoński, Rysio Borsukiewicz stale byli w podróży, przypisany do działu koordynator transportu Leszek Buczkowski stawał na głowie by wszystko było w terminie na czas dowiezione. Zaopatrzenie podlegało dyrektorowi ds ekonomicznym, był nim w tym czasie Julek Barański ale po krótkim czasie dyrektorowania awansował na dyrektora PBRol w Lublinie. Działem ekonomicznym i kadrami rządził Zbysio Wężyk, amator wędkarstwa, grzybiarstwa i zapalony działkowicz z czasem stał się również myśliwym. Siedzący w papierach, stale analizujący sytuację ekonomiczną przedsiębiorstwa potrafił na naradzie w ferworze dyskusji krzyknąć że to ciemniaki i nie znają się na ekonomii. Kadrami zajmowali się Krystyna Szostak i Janusz Misiura. Zbyszek Wężyk często poświęcał niedziele na wyjazdy w teren do werbowania ludzi. Budowy odczuwały stały niedosyt robotników budowlanych. Docierał do najdalszych wiosek, obiecywał ludziom wiele aby tylko zechcieli pracować. Zwerbowanych kwaterowano w hotelach albo też dowożono z miejsc zamieszkania. Były lata że dowożono ludzi z Leżajska i płacono tyle ile żądali. Koszty dowozu i pracy były bardzo duże, tych z Leżajska przywożono w poniedziałek po południu a odwożono w czwartek po południu, efektywnej pracy to tylko trzy dni, ale takie były realia.

Działem finansowo-księgowym kierował w czasie dyrektorowania Czesław Buczkowski go główny księgowy Gaj, imienia już dzisiaj nie pamiętam, zastępcą był Feliks Jaworowski. Gdzieś na początku lat siedemdziesiątych Gaj z rodziną i kierowniczką hotelu Marcukową która przyjaźniła się z Gajami, wyjechali do Grodziska Mazowieckiego tam otrzymując pracę i mieszkanie. Głównym księgowym w przedsiębiorstwie został Czesław Bajurko. Człowiek o bardzo życzliwym usposobieniu, zawsze z humorem i lubiący towarzystwo i biesiadę. Bajurkowie przyjaźnili się z moimi teściami więc znaliśmy się z wcześniejszych rodzinnych spotkań z okazji imienin. Czesław znany był z tego że pisywał wierszyki z różnych okazji, a szczególnymi okazjami były imieniny kolegów z pracy. Wierszyki pełne humoru, związane z pełnią funkcją lub szczególną cechą jubilata. Po Czesławie Bajurko głównym księgowym został Feliks Jaworowski a po jego odejściu na głównego księgowego do spółdzielni produkcyjnej w Cichoburzu, zadanie te przejął Jan Burak który przeszedł do przedsiębiorstwa z GS Werbkowice.

Zbliżał się rok 1980, tworzył się ruch Solidarność, w przedsiębiorstwie pojawiło się nagle wielu radykałów, ludzie różnie ich oceniali, chociaż swoich opinii i uwag nie wyrażali w oficjalny sposób. Była wielka fascynacja nowo powstałym ruchem, rano na dalekopisie firmowym odbierano całe pliki informacji, instrukcji i wiadomości o tym co się dzieje w kraju. Na biurkach rankiem ludzie zaangażowani w nowy ruch rozkładali ulotki z informacjami których nie zamieszczała oficjalna prasa ani nie podawały państwowe media. Przychodziły odezwy Lecha Wałęsy który stał się oficjalnym przywódcą ruchu Solidarność. Pojawiły się plakietki z logo Solidarności które ludzie wpinali w klapy marynarek czy do swetra. Zresztą w tych czasach sweter stał się symbolem działaczy nowego ruchu Solidarność. Radykałowie zmusili do odejścia dyrektora Franciszka Jarosza, a wielu z nich właśnie temu człowiekowi zawdzięczało pracę, mieszkanie. Tak postępując ujawnili swą małostkowość i nikkzemność. Na miejsce usuniętego dyrektora powołano Józefa Marciniuka, pracownika przedsiębiorstwa, kierownika budowy w Lipinie. Był to niewątpliwie początek końca przedsiębiorstwa. Zaczęły się zawiązywać koterie, grupy interesów, ton nadawała grupa radykałów i przyszedł grudzień 1981 roku, stan wojenny. Internowano tylko Staszka Chilewskiego, członka władz regionalnych. Inni działacze nie stwarzali pewnie wg władzy

zagrożenia i pozostali na wolności. Noc wprowadzenia stanu wojennego przeżyliśmy na żywo. Z naszego mieszkania widać było budynek milicji i gorączkowe zachowania funkcjonariuszy. Ponadto w sąsiednim budynku mieszkało sporo funkcjonariuszy wężennictwa których w środku nocy wyciągano z mieszkań i jak przypuszczam udawali się do zakładu karnego. Pewnie w tym czasie zwożono internowanych na innym terenie, hrubieszowskich działaczy jak się później okazało przewieziono do zakładu karnego w Krasnymstawie. Czas stanu wojennego to czas wielu obostrzeń i zakazów, w pierwszych tygodniach nie można było wyjechać z miasta bez przepustki komendanta wojennego. Urzędował w budynku Urzędu Miasta. Na ulicach miasta pełno było patroli wojskowych i ormowskich. W najlepsze funkcjonował system kartkowy, kartki na cukier wprowadzone w połowie lat siedemdziesiątych uzupełniono o kartki na mięso, alkohol, słodycze, obuwie, benzynę. Reglamentowano artykuły dla dzieci a nawet tak prozaiczną rzecz jak papier toaletowy który stawał się luksusem. Polacy zahartowani przez historię i te utrudnienia jakoś przetrzymywali, triumfowała ludzka solidarność, ludzie stali się niezwykle czuli na wspólną niedolę i jakoś radzili sobie wzajemnie się wspomagając. Ruszyła pomoc zachodnich organizacji charytatywnych. Dary trafiały do organizacji społecznych, kościelnych i do zakładów pracy, z rozdziałem darów bywało różnie, jak zawsze w sytuacjach gdzie o przyznaniu darów decyduje człowiek. Pojawiają się sympatie, antypatie i najzwyczajniejsza ludzka przypadłość jaką jest zawiść. Dlatego też udział w konsumowaniu darów był krańcowo różny. Wśród darów dominowała żywność, konserwy, mąka, oleje, tłuszcze, kawa, herbata, środki czystości, środki higieny osobistej. Odzież otrzymywała organizacja PCK. Ale zdarzały się i przypadki kuriozalne, bratnia Bułgaria przysłała ziemniaki i biały ser bułgarski w stanie nadającym się tylko do koryt świńskich a i to była obawa czy nie zaszkodzi. Czas stanu wojennego to czas już innej Polski. Władza wyraźnie bała się społeczeństwa. Wprawdzie powoływano różne ciała obywatelskie działające rzekomo z własnej i nie przymuszonej woli, ale wszyscy doskonale wiedzieli że pod powłoką tej pozornie spokojnej Polski tli się załazek czegoś co wcześniej lub później eksploduje i zmieni porządek. Również nasze przedsiębiorstwo nie było już takie jak dawniej. Zmieniona dyrekcja nie radziła sobie z pojawiającymi się problemami. Z przedsiębiorstwa z różnych powodów zaczęli odchodzić pracownicy. Ja sam po czternastu latach pracy odszedłem do Lubelskiego Przedsiębiorstwa Ceramiki Budowlanej. Zbyszek Wężyk do Izby Skarbowej w Zamościu. Romka Kuropatwa do pracy w szkole. Również do pracy w szkole odszedł Marian Cisło. Również wielu ze ścisłej kadry technicznej, Janusz Kuźniarski, Antoś Kuszmiruk odeszli do pracy w firmach zamojskich. Dzisiaj wiem że powolny ale nieuchronny kres przedsiębiorstwa zapoczątkowało wyrzucenie z pracy dyrektora Franciszka Jarosza. W Lubelskim Przedsiębiorstwie Ceramiki Budowlanej rozpocząłem pracę od 1 lipca 1983r. Zakład którym kierowałem to hrubieszowska cegielnia wraz z posezonową produkcją pustaków. Po roku pracy zorganizowałem grupę remontowo-budowlaną do kierowania którą zatrudniłem Jasia Steciuka byłego kierownika budowy w PBRol, zatrudniłem także jako majstra Romka Kowalczyka również byłego pracownika PBRol. Zastałem zakład w nie najlepszej kondycji, również zagospodarowanie zakładu nie odpowiadało standardom. Zakład posiadał dwa baraki mieszkalne dla pracowników. Zaopatrzenie w wodę to pompa. W następnym roku wykonaliśmy sieć wodociągową z własnego ujęcia, doprowadziliśmy wodę do budynków mieszkalnych oraz rozprowadziliśmy po terenie zakładu. Również utwardziliśmy płytami monowskim drogi i place składowe. Warunki pracy zmieniły się bardzo. Przy zakładzie zorganizowałem sklep z materiałami budowlanymi, płytki ceramiczne, blacha, tarcica itp. Roboty remontowo-budowlane wykonywaliśmy na rzecz hrubieszowskich przedsiębiorstw i zakładów. Przyszedł rok 1988, w ramach restrukturyzacji i prywatyzacji gospodarki, zakład hrubieszowski przeszedł pod zarząd zamojskiego oddziału LPCB. Oddziałem tym kierował inż. Malinowski, w ramach modnego wówczas przejmowania pod częściową prywatyzację przejął oddział zamojski. Chyba zachłysnął się tą niby

własnością, szybko kupił francuskie auto i szpanował szybkością. Na jedną z przejazdów wziął 15 letniego sąsiada, chciał zaimponować i wylądowali na drzewie. Tragicznie dla jednego i drugiego skończyła się ta eskapada. Ja w tym czasie poważnie zachorowałem na nerki. W 1989 roku w czerwcu przeszedłem w lubelskiej klinice operację. Zaczęła się likwidacja przedsiębiorstwa. Odszedłem z pracy z końcem września 1989 roku. Na zwolnieniu lekarskim przebywałem do końca roku. W grudniu nowe władze miasta ogłosiły konkurs na stanowisko kierownika działu techniczno – inwestycyjnego. Przystąpiłem do konkursu, oferta jaka złożyłem została przyjęta i od 1 stycznia 1990 roku rozpocząłem pracę w samorządzie. Wydział którym kierowałem zajmował się przygotowaniem do realizacji komunalnych inwestycji miejskich ujętych w planach inwestycyjnych uchwalanych przez radę miasta, zajmował się także gospodarką komunalną, gospodarką lokalami i mieszkaniami komunalnymi. W wydziale początkowo pracowało trzy osoby, Darek Kuśmirek doskonale poruszający się temacie mieszkań komunalnych i Henio Szlązak w którego kręgu zainteresowań były inwestycje miejskie. W zakresie realizacji inwestycji miejskich miasto posiłkowało się Przedsiębiorstwem Gospodarki Komunalnej i Mieszkaniowej które było jednostką podległą miastu. Północna część miasta zaniedbana pod względem infrastruktury komunalnej była terenem gdzie najczęściej inwestycji miejskich realizowano. Dotyczyło to całej sieci wodociągowej i kanalizacyjnej, łącznie z przepompownią ścieków przy osiedlu Jagiellońskim. Po jakimś czasie Henio Szlązak odszedł z wydziału do pracy poza urzędem. Na jego miejsce ściągnąłem Jolę Kuzdrę, pracowała w PGKiM w dziale technicznym i obeznana była z inwestycjami miejskimi. Był to dobry wybór, Jola doskonale radziła sobie z powierzonym zakresem zadań. Muszę stwierdzić że Jola i Darek byli doskonałymi pracownikami, którym z pełnym zaufaniem można było powierzyć wykonanie zadania. Preferowałem taki styl pracy, że otrzymane zadanie pracownik realizował od początku do końca. Ufałem ludziom, i chyba się nigdy nie zawiodłem. Urząd był specyficznym zakładem pracy. Wydziały pracowały w oparciu o uchwały rady miejskiej które precyzowały zakres zadań do wykonania, dotyczyło to nie tylko inwestycji miejskich ale również, oświaty i kultury, drogownictwa, budownictwa, opieki socjalnej, rolnictwa i całego szeregu działań w zakresie obsługi mieszkańców miasta. Wydziały współpracowały w zakresie realizacji swoich zadań. Oświatą i kulturą zajmowała się Renia Visioli, całością spraw zajmowała się sama. Dopiero znacznie później rozbudowano wydział adekwatnie do zadań jakie wykonywał. Sprawy drogownictwa miejskiego powierzono Miejskiej Służbie Drogowej, którą kierował Zbyszek Dolecki, miał do pomocy Andrzeja Serafina którego ściągnął do pracy w MSD chyba z jakiegoś zakładu fotograficznego i Bonia Worobla który zajmował się sprawami magazynowymi. Wydziałem architektury i budownictwa kierował Kazio Misiura, Jacek Michalczewski nieformalny zastępca Kazia fascynował się w tym czasie świeżo zakupioną kserokopiarką. Była to wielka nowość, o komputerach słyszało się, ale nikt nie był w stanie przewidzieć że za kilka lat zawładną urzędem. Kserokopiarka niesamowicie ułatwiała pracę wydziałom, odpadało kopiowanie czy też powielanie materiałów. Ksero miało wielkie powodzenie, wydział z trudem opędział się od klientów spoza urzędu. Pojawiły się elektryczne maszyny do pisania z modułem pamięci, był to wielki postęp w stosunku do tradycyjnych maszyn. W tym wydziale pracowała Halinka Daciuk, Jadzia Kapusta, Sławek Budzyński, krótko pracował Jasio Steciuk z Dołhobyczowa, dosyć szybko dzięki żonie przeniósł się do Warszawy i otrzymał tam pracę w Straży Miejskiej. W drodze konkursu pracę w tym wydziale otrzymał Henio Demendecki dotychczasowy pracownik PBRol. Po kilku latach w czasie kadencji burmistrza Franciszka Suheckiego awansował na kierownika wydziału. Jadzia Kapusta została ściągnięta do urzędu miasta z urzędu rejonowego-poprzednika obecnego starostwa powiatowego. Jadzi zaproponowano mieszkanie i to był argument na podjęcie pracy w urzędzie. Zaowocowało to małym zgrzytem ponieważ Jadzia otrzymała mieszkania obiecane Darkowi Kuśmierkowi. Ale nie ma tego złego co by na dobre nie wyszło. W tym samym czasie zakład energetyczny oddawał do użytku dwa budynki mieszkal-

ne wielorodzinne przy ulicy Polnej. Stosownie do zawartej umowy miasto otrzymał kilka mieszkań do swojej dyspozycji i jedno z tych mieszkań otrzymał Darek. Utarł się zwyczaj że właściciel po zasiedleniu mieszkania obowiązkowo organizował parapetówkę dla kolegów z urzędu. Pamiętam parapetówkę pierwszą chyba u Jacka Michalczewskiego, później u Zbyszka Doleckiego, Darka Kuśmierka, Bożenki Musiej i chyba z rozpędu u Joli Kuzdry. W pierwszych latach w urzędzie było bardzo ciasno, część pomieszczeń zajmował urząd skarbowy, dopiero później przeniósł się do obecnego budynku. W tym, samym budynku urzędował również urząd rejonowy, przekształcony z czasem w starostwo powiatowe. Wydziały gnieździły się wspólnie w jednym lub dwu pomieszczeniach. Wydział Techniczno Inwestycyjny zajmował dwa pomieszczenia razem z Miejską Służbą Drogową oraz Wydziałem Oświaty, Sportu i Kultury. Komfortem mógł się pochwalić wydział budownictwa i architektury, mieli dla siebie całe dwa pokoje. Skarbnik i wydział finansowo-księgowy zajmowali dwa pomieszczenia. Po pewnym czasie wyrzucono część wydziału z pomieszczenia gdzie ulokowano gabinet zastępcy burmistrza. Do tego czasu burmistrz i zastępca wspólnie użytkowali jedno pomieszczenie. Bywało że po wejściu interesanta lub ważnego gościa jeden z nich opuszczał pomieszczenie. Skarbnikiem Miasta była Pani Zosia Prytuła z domu Rusiecka, bliźniaczka jak podkreślała i sybiraczka. Pełna humoru, doskonale znająca swoją profesję. W wydziale pracowały same kobiety, Krysia Koziół, Urszula Stepianiuk, Stasia Kurzawa, Irena Kołodyńska. Urząd Stanu Cywilnego to było królestwo Tereski Olszak i Łodzi Żaroffe. Tereska Ziemińska prowadziła kadry i sprawy gospodarcze urzędu. Sprawami miejskiego rolnictwa zajmowała się, Teresa Żolnierczuk, a ochrona środowiska była domeną Andrzeja Lisowskiego. Moja szkolna koleżanka Jola Bronicka z domu Walczuk prowadziła sprawy związane z działalnością gospodarczą. Nie sposób nie wspomnieć Marioli Sadowskiej, radcy prawnego urzędu. W tym czasie obsługę prawną urzędu wykonywały dwie osoby, właśnie Mariola Sadowska i Basia Adamus z domu Włodek. Sekretariatem zajmowała się Bożenka Borna. Sprawami wojskowymi i tajną kancelarią zajmował się Zbysio Czerkawski, on jeden miał pomieszczenie tylko dla siebie, dodatkow okratowane. Zajmował również dwa lub trzy pomieszczenia w piwnicy urzędu, był to magazyn sprzętu wojskowego i salka szkoleń, którą częstowikorzystywaliśmy do nieformalnych spotkań.

Czas który opisuję dotyczy początków samorządu miejskiego. Pierwsza demokratycznie wybrana rada miasta liczyła 24 osoby. Radnymi w kadencji 1990-1994r zostali, podaje alfabetycznie: Adamus Janusz, Baczewski Józef, Banaszekiewicz Piotr, Bartnik Tadeusz, Borsukiewicz Witold, Bronicka Anna, Danilczuk Alfred, Jędruszczak Zdzisław, Krawiec Bolesław, Królewicz Jan, Lemański Wiktor, Łaciński Jacek, Obszyński Witold, Paczała Eugeniusz, Pilipczuk Stanisław, Płonkowski Ryszard, Ryszkowski Ireneusz, Rządkowski Stanisław, Sołtysiak Wojciech, Stępka Leszek, Szydłowski Krzysztof, Wysocki Jan, Zajac Jan i Zańko Andrzej.

Radni powołali na funkcję przewodniczącego rady miasta inż. geodetę Wiktora Lemańskiego. Wiceprzewodniczącymi zostali Łaciński Jacek i Eugeniusz Paczała. Burmistrzem miasta został wybrany Leszek Stępka a na jego wniosek na zastępcę powołano Jarosława Kędzierę. W tym czasie powoływano jeszcze radę miasta wykonawcze kolegialne ciało rady miejskiej. W skład tego ciała weszli, z urzędu burmistrz i jego zastępca oraz desygnowani przez radę miasta radni, Adamus Janusz, Borsukiewicz Witold, Płonkowski Ryszard, Rządkowski Stanisław i Sołtysiak Wojciech. Czas pracy tej rady a także urzędników samorządowych to czas wielkich zmian, przeobrażania gospodarki, porządkowania majątku komunalnego, wdrażania nowego prawa, słowem czas uczenia się samorządności i reguł demokratycznego państwa. Sesje rady miasta to burzliwe debaty nad każdym pojawiającym się problemem, nie kończące się dyskusje, odmienne zdania, wzajemne obrażanie się z finałem w sądzie. Często posiedzenia rady kończyły się późną nocą. Rozpoczęły się inwestycje miejskie poprawiające warunki bytowe mieszkańców. Najbardziej zaniedbana pod tym względem północna część miasta otrzymała wodociągi, rozpoczęto kanalizację osiedla Jagiellońskiego, oddano przepompownię ścieków dla tego osiedla. Po przejęciu kotłowni zlikwidowanego Hakonu, w re-

jonie ulicy Polnej, Mickiewicza i Piłsudskiego rozpoczęto budowę sieci ciepłowniczej, skutkowało to likwidacją kotłowni lokalnych niezwykle uciążliwych dla mieszkańców osiedli w sezonie grzewczym. Wtedy też podjęto decyzje o budowie sieci kanalizacyjnej w rejonie ulicy Kolejowej, Sławęcinnie, w ulicach Dwernickiego, Żeromskiego i Kilińskiego. Rozpoczęto i zakończono budowę miejskiego wysypiska odpadów, oraz podjęto rozbudowę oczyszczalni ścieków. Trzeba wziąć pod uwagę to, że zarówno radni jak i wyłonieni przez radę ludzie na funkcje kierownicze, burmistrz, zastępca i członkowie zarządu to ludzie bez doświadczenia w pracy samorządowej, nie byli wcześniej urzędnikami. Być może to właśnie powodowało że widzieli problemy i sposoby ich rozwiązywania oczami przeciętnych mieszkańców miasta, nie skażeni rutyną urzędniczą czy rutyną działacza.

Przyszedł rok 2004, wybory samorządowe, wygrała lewica. Rozpoczęły się zmiany. Kilkoro radnych wykorzystało fakt stania się radnymi do zabiegania o pracę w organach samorządowych. Aby otrzymać konkretne stanowisko trzeba to stanowisko przygotować do objęcia to znaczy oczyścić. Nie chcę opisywać całej procedury takiego przedsięwzięcia, doświadczyłem tego i nie życzę nikomu tego przeżycia. Odszedłem do pracy w oświacie samorządowej, powołano wówczas ZOP, zakład budżetowy do obsługi w zakresie kadr, finansów i inwestycji, miejskich placówek przedszkolnych. Zostałem kierownikiem zakładu. Trzeba było ten zakład tworzyć od podstaw łącznie z przygotowaniem pomieszczeń i kompletowaniem obsady personalnej. Pierwszymi pracownikami obsługi księgowej były, Kazia Wilczyńska i Todzia Majewska. Później na miejsce głównej księgowej trochę z poręki pracownicy urzędu przyszła Halina Tymczuk jej znajoma. Myślę że dogrywanie się pracownic szło z pewnym oporem, atmosfera nie zawsze była dobra. Ja musiałem być tą osobą która starała się łagodzić sytuację. I z jednej i drugiej strony wysłuchiwałem nie zawsze życzliwych wobec stron uwag. Po pewnym czasie Todzia Majewska odeszła, myślę że zrobiła to dla świętego spokoju. Na jej miejsce w wyniku rozmów kwalifikacyjnych przyszła Renata Hajkiewicz, jej ostatnim miejscem pracy był PBRol w Hrubieszowie. Trzeba przyznać, że była i chyba jest to osoba bardzo pracowita, odpowiedzialna, sumienna o niezwykle precyzyjnym technicznym wręcz rozumieniu nowoczesnej technologii pracy.

Zespół borykał się z niezwykle oszczędnym, wręcz skąpym budżetem i placówek przedszkolnych i własnym. Brakowało środków na wiele niezbędnych spraw, oszczędność była daleko posunięta. Nawet jak pojawiały się zaoszczędzone jakimś cudem pieniądze, ówczesna skarbnik wyłuskiwała je zmniejszając w korektach wielkość przekazywanych środków, podobnie przedstawiała się sytuacja placowa. Owszem płace nauczycieli gwarantowane przez zapisy karty nauczyciela były na poziomie zapisanym w ustawie budżetowej przez sejm ale płace obsługi i tak bardzo małe, były przez samorząd jeszcze umniejszane. Zawsze szukano oszczędności u najmniej zarabiających. Plany finansowe placówek i zespołu przed uchwaleniem przez radę były wielokrotnie przerabiane i dopasowywane aż wreszcie zgrywały się z zaplanowanymi środkami. Nigdy nie zdarzyło się by opracowane projekty planów finansowych były ostateczne, mam wrażenie że wskaźniki do opracowania planów nie były precyzyjnie wyliczane ale w wielu przypadkach właśnie przypadkowe.

W zasadzie współpraca z większością placówek układała się dobrze, ale były przypadki że coś tam zgrzytało, nie starałem się być konfliktowym i unikałem takich sytuacji. Mile wspominam współpracę z placówką na Sławęcinnie, podobnie z placówką na Gródeckiej czy też „słoneczną” Listopadową, również mile wspominam indendentki z placówek. Przy skąpych środkach finansowych na remonty posiłkowaliśmy się pracownikami gospodarczymi placówek, ale było to złe rozwiązanie bo powodowało dalszy zmniejszanie środków. W budżetówce dobrze jest pokazać większy wydatek, remonty wykonane przez firmy zewnętrzne, wówczas wydatkowane wyższe kwoty były podstawą przy opracowywaniu planów finansowych do ich zwiększenia o określony procent w następnym roku budżetowym.

Tak przepracowałem do listopada 2004 roku. Któregoś listopadowego dnia, pamiętam że był już śnieg, po przyjsciu do pracy wypiciu rytualnej kawy i zapaleniu papierosa straciłem

przytomność, pogotowie na "wyju" przewiozło mnie na OJOM. Było to pierwsze poważne ostrzeżenie, bagatelizacja mogła mieć przykry finał. Przeleżałem kilka dni, potem parę dni zwolnienia i powrót do pracy. Po tym incydencie rzuciłem palenie papierosów, do dzisiaj dziwię się że poszło to tak gładko. Ale myślę że świadomość konsekwencji była silną motywacją. Ponadto koniecznym było przejście specjalistycznych badań. Sylwester i nowy 2005 rok spędziłem w szpitalu papieskim w Zamościu na kardiologii.

Koronarografia z zaimplantowaniem stenta w tętnicy wieńcowej, na 1 marca wyznaczono operację wszczepienia bypasów. Po zabiegu i krótkiej rekonwalescencji w oddziale szpitalnym zostałem wypisany jako że „remont” był skuteczny i udany. Wraz z kartą informacyjną otrzymałem skierowanie do sanatorium szpitalnego w Nałęczowie na m-c kwiecień 2005 roku. Na początku kwietnia zmarł Jan Paweł II, pamiętam jak w parku zdrojowym tuż przy wejściu na trawniku pojawiły się wiązanki kwiatów i znicze, z każdą godziną przybywało i kwiatów i zniczy. Dzisiaj w tym miejscu stoi skromny obelisk upamiętniający to smutne i zarazem ważne dla każdego Polaka wydarzenie. Po powrocie z sanatorium, przebywałem na zwolnieniu lekarskim, rekonwalescencja, powolne dochodzenie do zdrowia.

Komisja zusowska, chyba około listopada 2005 roku ustaliła grupę inwalidzką i otrzymałem decyzję rentową po miesiącu otrzymałem decyzję o wcześniejszej emeryturze. Tak rozpocząłem ostatni okres aktywności życiowej człowieka.

Starłem się w tym opracowaniu pokazać czy też przedstawić czas i ludzi jakich spotkałem na swojej drodze. Czasami w opisach charakteryzowałem niektóre postacie, ale generalnie unikałem tej procedury. Charakterystyka a szczególnie uwydatnianie dobrych czy złych stron człowieka jest zawsze oceną subiektywną. Nie wierzę w żadne zapewnienia że coś jest obiektywnie oceniane, opisywane, wszystko i zawsze ma podłoże subiektywne. Podświadomie czujemy do kogoś sympatię lub antypatię i ma to wpływ na naszą ocenę. Uważam że charakteryzując postać winniśmy przede wszystkim eksponować dobre cechy człowieka, chyba że ktoś jest wybitną kanalią. Dobre czyny niech idą przed człowiekiem.

Jeżeli kogoś uraziłem lub przedstawiłem trochę inaczej niż było proszę o wybaczenie, ale od niektórych wydarzeń minęło sporo lat i to może mieć znaczenie.